Rok XVI
12 (801)
CENA 1.50 ZŁ
25.3.73

15 lat

Niepostrzeżenie „Odgłosy" stały się nastolatkiem a więc rówieśnikiem młodszej i kto wie, czy nie najliczniejszej dziś generacji Polaków. Ma to wymowę niemal symboliczną, chociaż i bez tego piętnaście lat to wcale znów nie tak mało.

(Czytaj na str. 2)

ODGŁOSY
TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

RYSZARD BINKOWSKI

Pojechałem do Zgierza, aby znaleźć młodego rolnika, delegata na Konferencję Wojewódzką PZPR, mieszkającego w Czaplinku.

ZIEMIA PRZY TORACH

Na dworcu PKP namierzyłem się na trzech kolejarzy.

— Czaplinek? To w Koszalińskiem!...

— Nie, w Gminie Zgierz!

— To idź pan tam — wskazali drzwi.

Informator z PKP zrobił duże oczy, zakręciła się druga urzędniczka i krzyknęła w głąb pomieszczeń, do sprzątaczki:

— Kazia, gdzie jest ten Czaplinek?

Kazia wiedziała. Tylko dwa przystanki, przy stacji w Glinniku. W pociągu zagadnęła:

— A do kogo pan w tym Czaplinku?

— Do Krzyżańskiego.

— Bystry chłopak, tylko trochę zalatany. Dużo robi

(Dalszy ciąg na str. 7)

ŁODZIANIE 1972

Nasz piąty z kolei plebiscyt czytelniczy pn. „Łodzianie 1972" został rozstrzygnięty. Zwyciężyli: prof. dr STEFANIA SKWARCZYŃSKA, BOGUSŁAW SOCHNACKI i LEON GOMOLICKI.

ANDRZEJ GRUN

13

(Czytaj na str. 7)

KAROL BADZIAK

LOSY MOICH BOHATERÓW

Z okazji jubileuszu pisma odwiedziłem parę osób, o których kiedyś toczyłem zacięty bój na tych szpaltach. Zresztą każdy chętnie wraca do swych czasów heroicznych, nawet wtedy, kiedy zwycięstwa były tylko pozorne. Jeśli ktoś chce odnosić naprawdę sukcesy wymierne w swej warstwie materialnej i duchowej, to w naszym dziennikarskim zawodzie nie znajdzie większej satysfakcji. Nam się trzeba przyzwyczaić do zwycięstw raczej połowicznych. Bohaterowie pięknych reportaży bardzo często źle kończą.

Dalszy ciąg na str. 4

ODBIJANY

ANDRZEJ MAKOWIECKI

O siódmej wieczorem w łódzkiej kawiarni „Egzotyczna" najstarszy człowiek liczy sobie dwadzieścia lat, a najmłodszy nie skończył jeszcze piętnastu.

W sali nie ma wcale wielkiego tłoku, ani wielkiego hałasu, i nie zanosi się na żadną awanturę. Rozmemłany szczawik drzemie nad niedopitym winem, ale nie chodzi mi przecież o problem alkoholizmu wśród młodocianych. Dwie dziewczynki w podkasanych kieckach ssą żarłocznie papierosy, ale ja nie jestem przecież w komitecie do walki z nikotyną. Kilku posępnych, długowłosych wyzwoleńców obsiada w solidarnym milczeniu szklankę wystygłej herbaty i ślepią nieprzytomnym wzrokiem w jakiś punkt na ścianie.

Szatniarka:

— W zeszłym tygodniu milicjanci zrobili obławę i schwytali ośmiu narkomanów, którzy podobnież przyjechali z Bydgoszczy...

Nie moja sprawa. Już przed dwoma laty sygnalizowałem przebieg tej ukrytej, podskórnej choroby na łamach „Polityki" i „Odgłosów", i dzisiaj bez zdziwienia czytam lakoniczne doniesienia prasy o skradzionych pieczątkach, podrobionych receptach i obrabowanych aptekach.

Więc szatniarka:

— A później milicjanci przyszli z tą panienką, co podobnież została zgwałcona.

Ciepło. Nie zamierzam wprawdzie pisać o gwałtach, które są częstym i alarmującym zjawiskiem społecznym, jednakże trop wydaje się słuszny.

Pytam:

— I co?

— No i z miejsca ich rozpoznała.

— Ilu?

— Trzech.

— Przyznali się?

— Nie czytał pan gazet? Już siedzą!

Krążą od stolika do stolika, raz po raz zamieniając się miejscami. Są niby normalni, zwykli, a przecież coś na nich ciąży. — Moda, która przyszła z obcych stron? Znane z opowieści widowiska rewiowe, gdzie

(Dalszy ciąg na str. 6)

ODGŁOSY

Jest Dzień Lasu. Jest święto odlewnika, hutnika, włókniarza. Swój Dzień mają nauczyciele, górnicy, kolejarze, pracownicy przemysłu terenowego, handlowcy. Jest święto kobiet, wymyślono już święto babci — choć to w dzisiejszej dobie instytucja niezwykle pożyteczna, która z powodzeniem spełnia rolę pomocy domowej, posłańca oraz niańki — wymyślono też dzień taty i kto wie, jakie nas jeszcze czekają pomysły.

W tym natłoku dewaluują się już wszystkie Dni nowe i stare, a mimo to każda grupa zawodowa pragnie mieć swoje święto. Ten jeden dzień w roku, kiedy w radio i telewizji mówi się przede wszystkim o nich, kiedy pisze się o nich w gazetach, kiedy organizuje się akademie, spotkania, wręcza nagrody i dyplomy uznania. Rozumiem nawet to dążenie do wyróżnienia się spośród wielu innych grup, pokazanie się społeczeństwu, że my też jesteśmy, działamy i choć może ludzie mają do nas takie lub inne pretensje, to przecież od naszej pracy też coś zależy, to nasz wkład w rozwój społeczny też się liczy.

Rok ma jednak tylko 365 dni, a w tym niedziele i święta, które od początku świata przeznaczono na odpoczynek. Nie można więc dni powszednich zamieniać w święta, choć z drugiej strony nie można odmawiać ludziom prawa do uznania ich pracy, do nagrody za trud, jaki ponoszą dla naszego wspólnego dobra. Jeśli więc zżymamy się na dążenie do permanentnego świętowania, to nie dlatego, że ktokolwiek chciałby odmawiać ludziom prawa do nagrody i społecznego uznania. Zżymamy się najczęściej dlatego, że drażni nas owo świętowanie dla świętowania, które tu i ówdzie wypiera stałe i naturalne uznawanie i nagradzanie dobrej pracy, czegoś więcej niż sumiennego wykonywania obowiązków. Drażni nas to, że ludzi ofiarnych, pracowitych, którzy z dobrej woli robią więcej niż powinni, dostrzega się niekiedy tylko od święta, a nie na co dzień. Że ludzi ocenia się z okazji święta, a nie dlatego, że pracują lepiej niż dobrze.

Świąt zawodowych jednak nie unikniemy. Weszły już na stałe do naszego kalendarza. Możemy jednak zmienić charakter tych Dni. Uczynić je okazją do popularyzacji spraw tej czy innej grupy społecznej. Tak jak to dzieje się ze Świętem Teatru, bowiem dla ludzi sceny największą miarą uznania ich pracy jest przyjęcie jej przez widzów. Są to wprawdzie oceny subiektywne, a więc mogą być krzywdzące i niesprawiedliwe, ale są niezbędne. Bez widzów nie może istnieć bowiem żaden teatr, tak jak żaden teatr nie może rezygnować z ich ciągłego zdobywania. W teatrze oceny dokonuje się na bieżąco. Jest nią reakcja widzów. A zbliżający się właśnie Międzynarodowy Dzień Teatru staje się tylko jeszcze jedną okazją do spopularyzowania spraw teatru wśród szerokich kręgów społeczeństwa. W Łodzi taka popularyzacja jest szczególnie potrzebna. I nie tylko od święta.

Myślę, że tego dnia nie zabraknie kwiatów, słów uznania i życzeń. Będą one nie tylko do tych, których można podziwiać i oklaskiwać na scenie, ale i dla wszystkich ludzi, których praca składa się na sceniczne widowisko. Najważniejsze jednak będzie to, że będzie się mówić o sprawach teatru, bez którego nie może istnieć żadne wielkomiejskie środowisko, żadne nowoczesne społeczeństwo.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

XIII WOJEWÓDZKA

Co dwa lata odbywają się wybory w partii. Oceniając swoją działalność organizacje partyjne wybierają nowe władze oraz delegatów na konferencje sprawozdawczo-wyborcze wyższych instancji — na konferencje gminne, miejskie, powiatowe i wojewódzką konferencję. Organizacja partyjna Ziemi Łódzkiej wybrała delegatów na XIII Wojewódzką Konferencję Partyjną.

Wybory w partii są okazją dla dokonania oceny tego, co zrobiono w mijającej kadencji i dla nakreślenia kierunków dalszej pracy całej wojewódzkiej organizacji partyjnej we wszystkich dziedzinach życia: w gospodarce, działalności społecznej, politycznej, w kulturze i oświacie. Jest to okazja do przyjrzenia się temu, jak pracowaliśmy i określenia tempa dalszej pracy.

Trzynastej Wojewódzkiej Konferencji Partyjnej przyświeca hasło: WYDŁUŻAJMY KROK! „Musimy się śpieszyć — powiedział na Krajowej Naradzie Aktywu Partyjnego I sekretarz KC PZPR — Edward Gierek — gdyż takie jest prawo epoki. Kto nie dotrzyma kroku postępowi społecznemu, naukowemu, technicznemu, cywilizacyjnemu, ten może bezpowrotnie pozostać w tyle". Z tym prawem epoki musimy liczyć się w każdej dziedzinie naszego codziennego działania. I XIII Wojewódzka Konferencja Partyjna obradować będzie nad tym, jak dotrzymać tempa postępowi we wszystkich dziedzinach życia na Ziemi Łódzkiej. Uchwali program, określający zadania dalszego rozwoju województwa łódzkiego. Program na miarę naszych potrzeb i sił.

Każda wojewódzka konferencja jest okazją do spojrzenia wstecz. Co zrobiliśmy? Jakie było tempo naszej pracy? Czy dostateczne? Patrząc obecnie na minione dwa lata można powiedzieć, że pracowaliśmy dobrze. Województwo łódzkie otrzymało nowe przedsiębiorstwa, wzrosło tempo przyrostu produkcji, poprawiła się jakość wielu powstających tu wyrobów, zaczęto wytwarzać bardziej nowoczesne towary, wybudowano wiele nowych domów. Również rolnicy uzyskali w ostatnich dwu latach rekordowe plony. Zwiększyło się pogłowie bydła i trzody chlewnej.

„W ciągu ostatnich dwóch lat posunęliśmy się wydatnie naprzód we wszystkich ważnych dziedzinach — powiedział na wspomnianej już naradzie Edward Gierek — szliśmy szybciej niż poprzednio. Teraz chodzi o to, by to tempo w pełni utrzymać i jeszcze przyśpieszyć. Na tym polega nasze główne zadanie." Słowa te odnoszą się również i do województwa łódzkiego. Tu w ostatnich dwóch latach również zrobiono wiele, ale wiele jeszcze pozostało do zrobienia. Jak zatem najskuteczniej osiągnąć zamierzone cele?

Odpowiedź na to pytanie wiąże się z pełnym uświadomieniem sobie kierowniczej i inspiratorskiej roli partii. To partia określając program i kierunki działania w poszczególnych dziedzinach życia — mobilizuje całe społeczeństwo do jeszcze wydajniejszej pracy. Wiąże się to jednak z systematycznym doskonaleniem metod i stylu pracy organizacji partyjnej, z ich umiejętnością stawiania zadań i kontrolowania przebiegu realizacji tych zadań, z umiejętnością podejmowania takich uchwał, które są w pełni realne i realizacja których jest systematycznie kontrolowana.

Indywidualne rozmowy z członkami i kandydatami partii, konsultacje, coraz szersze wykorzystywanie pracy komisji — to elementy, które wzbogaciły i udoskonaliły styl pracy organizacji i instancji partyjnych. Pozwoliły zerwać ze schematyzmem i formalizmem, z wyręczaniem przez instancje partyjne ogniw administracji, związków zawodowych i organizacji społecznych. Człowiek i jego dobro są naczelną troską partii.

XIII Wojewódzka Konferencja Partyjna — najwyższa władza 106-tysięcznej organizacji partyjnej województwa łódzkiego — podejmie takie decyzje, które pozwolą nam wszystkim w naszej codziennej pracy wydłużyć krok uczynić to wszystko, co będzie w naszej mocy, aby nam wszystkim żyło się coraz lepiej.

Delegatom wojewódzkiej organizacji partyjnej życzymy pomyślnych obrad!

MARCIN RODAK

ŁODZIANIE 1972

Nasz piąty z kolei plebiscyt czytelniczy pod nazwą „ŁODZIANIE 1972" został rozstrzygnięty. Tegorocznymi laureatami zostali: **PROF. DR STEFANIA SKWARCZYŃSKA** — 860 punktów; **BOGUSŁAW SOCHNACKI** — 640 punktów **LEON GOMOLICKI** — 610 punktów.

Serdecznie gratulując zwycięzcom zaszczytnego wyróżnienia, chcemy jednocześnie podkreślić, że **ważniejszą niż sama klasyfikacja wydaje nam się sprawa popularyzowania ludzi zasłużonych dla miasta, a tę funkcję spełniają nasze plebiscyty.** Toteż wyrażamy także swój głęboki szacunek wobec tych pretendentów do tytułu „Łodzianina Roku", na których padła nieco mniejsza ilość głosów naszych Czytelników. **Zofia Mitukiewicz** otrzymała 530 pkt.; **Leszek Rózga** — 410; **Ryszard Stanisławski** — 360; prof. dr **Jerzy Werner** — 340; **Paweł Kowalski** — 330; **Aleksander Zwierko** — 290; **Zdzisław Wyrzykowski** — 80.

A oto nagrody dla Czytelników, których głosy przyczyniły się do powodzenia naszego plebiscytu. **Nagrodę pierwszą** — radioodbiornik tranzystorowy — wylosowała **Barbara Piechocińska**, pracownica fizyczna zam. w Sianowie, ul. Bohaterów Stalingradu 7. **Nagrodę drugą** — aparat fotograficzny — **Jadwiga Kmiecik**, technik, zam. w Łodzi, ul. Mackiewicza 10/12. **Nagrodę trzecią** — zegarek na rękę — **Tadeusz Durdyń**, chemik, zam. w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 7.

Rozlosowano także wyróżnienia książkowe, które otrzymują: **Janusz Krawczyk** z Aleksandrowa Łódzkiego, **Aleksander Karpiński** z Olsztyna, **Helena Schurovetchi** z Liege w Belgii, **Antoni Cengel** z Warszawy oraz **Mieczysław Korzeniewski** z Łodzi.

Wręczenie nagród odbędzie się dn. 25. III. br. o godz. 16, w sali KMPiK w Łodzi, ul. Narutowicza 8/10.

15 LAT

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Pamiętajmy bowiem, że „Odgłosy" są w historii łódzkiej prasy periodycznej zjawiskiem zupełnie wyjątkowym: najdłużej kiedykolwiek wychodzącym w naszym mieście tygodnikiem społeczno-kulturalnym. I to chyba właśnie upoważnia nas do tego, aby na łamach pisma odnotować także swój własny skromny jubileusz.

Kiedy się dziś, po latach przegląda pożółkłe już zszywki „Odgłosów", trudno oprzeć się mimowolnemu wzruszeniu. Życzliwie towarzysząc najistotniejszym sprawom łódzkiego życia kulturalnego, jest nasz tygodnik także cząstką tego miasta, któremu stara się służyć. Najlepiej wiedzą to ci Czytelnicy, którzy zawarli z nami znajomość właśnie piętnaście lat temu, gdy „Odgłosy" po raz pierwszy pojawiły się w kioskach.

Ogromnie cenimy sobie tę przyjaźń starych, wypróbowanych Czytelników, ale równie cieszy nas każdy dowód zainteresowania ze strony Czytelników nowych, dopiero pozyskiwanych, nierzadko naszych rówieśników. Bo chociaż tygodnik nasz nie jest czasopismem jednego tylko pokolenia, istnieje przecież coś, co łączy wszystkich, którzy biorą „Odgłosy" do ręki: aktywna postawa wobec współczesności, serdeczna troska o przyszłość naszego miasta i naszego kraju.

Staraliśmy się przecież zawsze, aby puls czasu, w którym żyjemy, był jednocześnie naszym, zauważalnym rytmem. Nigdy chyba nie byliśmy i nigdy się nie staniemy tygodnikiem ludzi obojętnych, o czym najlepiej wiedzą nasi Czytelnicy.

Chcielibyśmy tego zaufania nie zawieść, do czego obliguje nas także ten skromniutki jubileusz. Mając za sobą przebyty już dystans piętnastu lat, w których jak najlepiej staraliśmy się wypełniać swoje obowiązki, tym wyraźniej widzimy czekające nas zadania. Nie jest to tylko kurtuazyjne wyznanie, bo właśnie dotychczasowe doświadczenie nauczyło nas, że nie ma rzeczy dobrych, które nie mogłyby być jeszcze lepszymi. Może dlatego właśnie „Odgłosy" w swojej historii przeszły tyle mutacji i niejedna jeszcze czeka je zmiana. Oby tylko nasze poszukiwania były przygodą prawdziwie twórczą, wzbogacającą pismo W dniu swego jubileuszu mamy chyba prawo życzyć sobie tego.

REDAKCJA

ZE ŚWIATA

Aktywność polityczną państwa można mierzyć również jego kontaktami międzynarodowymi, w tych zaś liczą się przede wszystkim bezpośrednie rozmowy. W ostatnich dniach Warszawa była miejscem dwóch ważnych spotkań naszych przywódców: z przywódcami Węgier i delegacją Partii Pracy Korei.

Komunikat o wizycie Janosa Kadara i Jonoe Focka stwierdza, że w toku rozmów polscy i węgierscy przywódcy poinformowali się wzajemnie o sytuacji w swych krajach i osiągnięciach w budowie socjalizmu, ocenili współpracę między partiami i państwami oraz dokonali szerokiej wymiany poglądów na temat aktualnych problemów międzynarodowych i ruchu komunistycznego.

W części rozmów, dotyczącej sytuacji międzynarodowej, tematem nr 1 była Europa, jej bezpieczeństwo. Obie strony podkreśliły, że obecnie nadeszła pora na jednoczesne przyjęcie obu państw niemieckich do ONZ i innych organizacji międzynarodowych, obie strony udzieliły też poparcia wysiłkom CSRS na rzecz uznania nieważności układu monachijskiego. Polska i Węgry są żywotnie zainteresowane umocnieniem bezpieczeństwa europejskiego oraz rozwojem korzystnej dla wszystkich krajów współpracy.

Z zadowoleniem przyjęto przywrócenie pokoju w Wietnamie, oba kraje — jako członkowie Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru — wywiążą się w pełni z zobowiązań, jakie na siebie przyjęły, aby porozumienie paryskie wcielić w życie. Będą też wspierać naród wietnamski w jego pokojowej pracy. Sprawie pokoju na półwyspie indochińskim służy także porozumienie laotańskie.

Polska i Węgry wyraziły poparcie dla krajów arabskich w ich walce przeciwko agresywnej polityce Izraela. Będą dokładać starań, aby na Bliskim Wschodzie osiągnięty został sprawiedliwy pokój, oparty o rezolucję Rady Bezpieczeństwa z 1967 r.

Podkreślając znaczenie moskiewskiej narady partii komunistycznych i robotniczych w 1969 r. dla postępu socjalizmu — obie partie stwierdziły potrzebę działania na rzecz jedności. Zdecydowanie będą one występować przeciwko lewicowemu i prawicowemu oportunizmowi oraz tendencjom antyradzieckim. Potępiono rozłamową, antyradziecką działalność kierownictwa KP Chin.

Wymianie poglądów oraz zacieśnieniu współpracy służyła również wizyta w Polsce delegacji Partii Pracy Korei z członkiem kierownictwa Komitetu Politycznego — Kim Dong Giu. W czasie spotkania z Edwardem Gierkiem delegacja poinformowała o osiągnięciach narodu koreańskiego oraz przedstawiła podstawowe cele polityki zagranicznej KRL-D. Polska solidaryzuje się z narodem koreańskim w socjalistycznym rozwoju kraju oraz dążeniu do jego zjednoczenia na drodze pokojowej.

Częstość spotkań przedstawicieli bratnich partii jest już ukształtowaną praktyką polityczną. Umacnia ona współpracę państw socjalistycznych.

* * *

W trzech europejskich miastach toczą się ważne dla pokoju rozmowy. W Helsinkach obecnie przyspieszane są prace nad ustaleniem porządku dziennego europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy. Zdecydowano się na wydłużenie obecnej rundy do 6 kwietnia — będzie to więc najdłuższa z dotychczasowych — i ustalono termin następnej na 25 kwietnia. Ta kolejna planowana jest jako końcowa. W Wiedniu, gdzie przebywają przedstawiciele dziewiętnastu państw przed rozmowami w sprawie redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie, obecnie uwaga koncentruje się na czterostronnych spotkaniach — szefów delegacji ZSRR, USA, Holandii i Węgier. W dalszym ciągu nie odbywają się plenarne sesje. Ich pewną namiastką są „plenarne cocktaile". W Genewie trwa kolejna runda rozmów radziecko-amerykańskich na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych. Toczą się tam również obrady wiosennej sesji konferencji 25 państw na temat rozbrojenia.

W ostatnich dniach raz jeszcze obiektem szczególnego zainteresowania stał się Paryż. Tym razem z powodu konferencji ministrów finansów i prezesów banków centralnych 14 najbogatszych krajów świata kapitalistycznego. Tematem obrad był oczywiście kryzys zachodniego systemu walutowego. Lecz konferencja nie przyniosła rozwiązania problemu. Uczestnicy narady przyjęli tylko do wiadomości brukselskie decyzje EWG, które zakładają zróżnicowane rozwiązania. I tak, NRF zrewaluowała swą markę o 3 proc., sześć państw członkowskich Wspólnego Rynku oraz Szwecja postanowiły utrzymać stopień fluktuacji między swoimi walutami na poziomie 2,25 proc., natomiast kursy walut W. Brytanii, Włoch, Irlandii, Kanady i Japonii będą nadal płynne i kształtowane popytem i podażą.

Dotychczasowy przebieg nowej fazy kryzysu walutowego na Zachodzie doprowadził: po pierwsze — do rozbicia walutowego dziewiątki państw EWG na dwa przeciwstawne bloki z wszystkimi możliwymi tego następstwami oraz po drugie: do zwycięstwa USA, które dążyły do rewaluacji walut zachodnich partnerów, aby otworzyć dla siebie rynki zbytu. Jest to istotne dla USA przed jesiennymi rozmowami handlowymi, decyzje, jakie już zapadły stawiają Stany Zjednoczone w korzystnej dla siebie sytuacji.

Z innych wydarzeń tygodnia zwróćmy uwagę na wyjazdową sesję Rady Bezpieczeństwa w Panamie, w czasie której przedstawiciele kilku krajów południowoamerykańskich wystąpili z otwartym oskarżeniem polityki USA i monopoli północnoamerykańskich oraz na zwycięstwo peronistów w wyborach argentyńskich. Jeśli żadne wydarzenia nie zakłócą sytuacji wewnętrznej tego kraju — od 25 maja prezydentem Argentyny będzie Hector Campora, bliski współpracownik Perona.

Trzy omówione w końcowej części komentarza wydarzenia: decyzje brukselskie, przebieg posiedzenia Rady Bezpieczeństwa oraz zwycięstwo peronistów można zaliczyć do rzędu sensacyjnych.

W. SŁAWSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

NAUKA — MIASTU

Z prof. dr hab. WŁADYSŁAWEM WELFE prorektorem Uniwersytetu Łódzkiego przewodniczącym Rady Naukowej przy Prezydium RN m. Łodzi rozmawia WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Foto. A. Wach

— Panie Profesorze, przy Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi działa już od kilku lat Rada Naukowa. Jej działalność nie była szerzej propagowana. Czy zechciałby Pan powiedzieć, jakie ona spełnia funkcje?

— Kilka słów wyjaśnienia. Rada Naukowa przy Prezydium RN m. Łodzi, w tym brzmieniu, została powołana 14 listopada 1972 roku. Do tego czasu nosiła nazwę Rady Naukowo-Ekonomicznej, a — w ostatniej kadencji — została utworzona w listopadzie 1968 roku. Jest to więc instytucja, która ma już za sobą kilkanaście lat pracy i sporo doświadczeń, nie zawsze najlepszych.

A teraz funkcje. Rada jest ciałem doradczym i opiniodawczym Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi. To lapidarne sformułowanie funkcji Rady obejmuje szeroki zakres jej zadań, jak na przykład, sprecyzowanie i ukierunkowanie rozwoju prac naukowo-badawczych w zakresie problematyki społecznej, gospodarczej i kulturalnej miasta oraz inicjowanie opracowań naukowych w tych dziedzinach, działanie w kierunku nawiązania i utrwalenia współpracy agend Rady Narodowej z wyższymi uczelniami w Łodzi, jak również instytucjami i placówkami naukowo-badawczymi w zakresie węzłowych zagadnień, mających duże znaczenie dla realizacji programu społeczno-gospodarczego rozwoju Łodzi. Dalej, wykonywanie ekspertyz i opinii dla potrzeb Prezydium Rady Narodowej. Opiniowanie opracowań, dotyczących priorytetowych problemów społeczno-gospodarczych miasta, a głównie ich prognozowania, analizy pracy agend Rady Narodowej m. Łodzi i szereg innych.

Należy też wspomnieć o inspirującym oddziaływaniu Rady Naukowej wobec agend miejskiej rady narodowej. Mam tu na myśli przede wszystkim jednostki zajmujące się planowaniem wieloletnim i perspektywicznym, jak na przykład: Miejską Komisję Planowania Gospodarczego, Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury, czy Kuratorium Okręgu Szkolnego m. Łodzi. Sugestie Rady Naukowej będą, oczywiście, wymagały dwustronnego zaakceptowania zgłaszanych propozycji, z jednej strony — przez odpowiednie jednostki naukowo-badawcze, a z drugiej — przez odnośne agendy Rady Narodowej.

Takie są, najogólniej rzecz biorąc, funkcje Rady Naukowej.

— Czy pierwotnie działająca Rada Naukowo-Ekonomiczna formułowała problemy, wynikające z potrzeb miasta?

— Tak. W latach 1969—72 Rada wykonała szereg prac, związanych z istotnymi potrzebami Łodzi. Między innymi, na wniosek przewodniczącego MKPG, Rada przedyskutowała założenia planu 5-letniego m. Łodzi na lata 1971—75, dokonała oceny rozwoju gospodarczego miasta, a wnioski w tym przedmiocie, sprecyzowane przez naukowców, przyjęto jako materiał pomocniczy przy opracowywaniu 5-letniego planu rozwoju Łodzi. Rada wzięła udział w pracach Zespołu Miejskiego Wojewódzkiej Pracowni Planów Regionalnych, dotyczących wykonania Uchwały IV Plenum KC PZPR przez łódzkie wyższe uczelnie i instytuty naukowo-badawcze. Owczesna Rada Naukowo-Ekonomiczna aktywnie uczestniczyła w ocenie raportu Prezydium RN m. Łodzi w sprawie programu rozwoju i modernizacji Łodzi w latach 1971—75, brała udział w opracowywaniu kilku projektów Prezydium RN m. Łodzi, tyczących się różnych dziedzin gospodarki miejskiej, dokonała oceny działalności służb ekonomicznych w wydziałach i agendach, podległych Prezydium Rady Narodowej. Ustosunkowała się do informacji o perspektywicznym planie przestrzennego zagospodarowania Łodzi do roku 1990.

Była to pracowita kadencja. Stwierdziliśmy jednak, iż słabością ówczesnej Rady Naukowo-Ekonomicznej był brak wyraźnie skrystalizowanego programu działania, a w szczególności brak zintegrowanego programu badań naukowych, który by uwzględniał potrzeby poszczególnych wydziałów i agend Rady Narodowej i który nasze środowisko naukowe byłoby gotowe akcpetować i uczynić przedmiotem pracy badawczej.

— Panie Profesorze, niedawno nastąpiła reorganizacja Rady Naukowej. Dlaczego zrodziła się potrzeba tej reorganizacji i na czym ona polega?

— Rada Naukowo-Ekonomiczna minionej kadencji była nieliczna. Było to ciało zbyt szczupłe, by mogło formułować na szerszą skalę propozycje naukowego opracowania węzłowych zagadnień tak złożonego organizmu miejskiego.

W praktycznym działaniu okazało się, że do opracowywania ekspertyz są niezbędni specjaliści z wielu różnych dziedzin. Trudno na przykład ocenić i zaproponować kontrpropozycje do rozwiązań, dotyczących zagadnienia technicznej lub społecznej infrastruktury miasta bez udziału ekspertów z tej dziedziny. A zatem, po dokonaniu analizy dotychczasowej pracy Rady Naukowo-Ekonomicznej, postanowiliśmy, po pierwsze — sugerować rozszeszenie składu nowo powołanej Rady Naukowej przez wprowadzenie do niej więcej specjalistów — naukowców i po wtóre — wyobrębnienie w jej ramach zespołów specjalistycznych, które by wzięły na warsztat konkretne i pilne problemy, związane ze społeczno-gospodarczymi potrzebami miasta. Taka forma pracy ułatwi także Radzie sprawne formułowanie programów rozwoju badań, dotyczących poszczególnych dziedzin gospodarki miejskiej. Podkreśliłem, oczywiście, tylko zasadnicze zmiany w strukturze organizacyjnej Rady, pomijając mniej istotne.

Mamy nadzieję, iż w ten sposób zreorganizowana Rada Naukowa będzie pracowała efektywnie, wykonując funkcje, do których ją powołano.

— Czy nowo powstała Rada Naukowa przy Prezydium RN m. Łodzi ma już sprecyzowany program działania?

Tak, mamy już taki program. Wyodrębniliśmy osiem węzłowych zagadnień prac naukowo-badawczych w zakresie rozwoju społeczno-gospodarczego Łodzi. Są to: rozwój ludności i zatrudnienia; kierunki rozwoju przemysłu w Łodzi; rozwój budownictwa; infrastruktura techniczna i planowanie przestrzenne; handel, usługi, warunki bytowe ludności; model oświaty, kultury, zdrowia i wypoczynku; gospodarka Łodzi na tle gospodarki narodowej Polski i ostatnie — metody planowania w działalności rad narodowych.

W ramach tych wiodących problemów mieści się kilkadziesiąt zagadnień szczegółowych, z których kilkanaście Rada przekazała już do zespołów, w celu opracowania ekspertyz naukowych i propozycji programowych.

— Jakie to są zagadnienia?

— Więc kwestie kadr kwalifikowanych, technicznego uzbrojenia budownictwa, rozwoju łódzkiej aglomeracji miejskiej, układu komunikacyjnego Łodzi, rozbudowy i lokalizacji placówek handlowych i usługowych i inne. Z tych kilku przykładów widać, że są to wszystko sprawy ważne, których szybkie rozwiązanie będzie miało duże znaczenie dla poprawy warunków życiowych ludzi pracy. A przecież takie zadania stawia również i przed Radą Naukową VI Zjazd Partii.

Będziemy się starali, by tam, gdzie to możliwe, agendy Rady Narodowej konsultowały się bezpośrednio z odnośnymi placówkami naukowymi. Będzie to, oczywiście, wymagało — i tu upatrujemy pewne trudności — przestawienia prac badawczych niektórych ośrodków naukowych na badania konkretnych tematów, sygnalizowanych lub przedkładanych przez agendy Rady Narodowej.

Będziemy też sugerować zawieranie wieloletnich umów między agendami Rady Narodowej i odpowiednimi placówkami naukowymi. Tak rozumiane umowy będzie finansować Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi. Przewiduję tu pewne trudności, bowiem perspektywiczne badania naukowe wymagają zaangażowania poważnych środków pieniężnych. Ponadto Rada Naukowa proponuje zawieranie bezpośrednich umów między wydziałami, czy zjednoczeniami RN m. Łodzi i placówkami naukowo-badawczymi.

Będąc już przy tych sprawach, chciałbym zwrócić uwagę, że Prezydium Rady Narodowej, pragnąc pobudzić zainteresowanie naukowców i praktyków problemami Łodzi, ustanowiło coroczny konkurs na opracowanie najlepszych tematów z dziedziny gospodarczej, społecznej i kulturalnej, mających szczególnie ważne znaczenie z punktu widzenia rozwoju miasta. Mogą to być opracowania książkowe jak również prace habilitacyjne, doktorskie lub magisterskie. Na konkurs mogą zgłaszać prace wyższe uczelnie i placówki naukowo-badawcze, rady narodowe, stowarzyszenia, organizacje naukowe, no i, oczywiście, autorzy prac.

— Czy Rada Naukowa przewiduje długoletnie programowanie prac?

— Myślimy o opracowaniu programu do roku 1980 włącznie, ale już dziś trzeba formułować problemy, które staną na porządku dnia za parę lub za kilka lat. Badania inspirowane przez Radę Naukową muszą więc mieć charakter wyprzedzający. Jest to bardzo trudne zadanie, ale możliwe do wykonania.

— Tak szeroko pomyślana współpraca Rady Narodowej m. Łodzi z Radą Naukową i — za jej pośrednictwem — z wyższymi uczelniami, instytutami i placówkami naukowo-badawczymi stwarza dobre perspektywy wykonania programu rozwoju i modernizacji Łodzi.

— Niewątpliwie. Współpraca ta stwarza ogromne możliwości, dotychczas bez precedensu, koordynacji badań naukowych z praktycznym działaniem w zarządzaniu gospodarką miejską. Co więcej, w przyszłości spowoduje integrację wysiłków, w szerokim tego słowa znaczeniu, łódzkich ośrodków naukowych w rozwiązywaniu problemów Łodzi i jej mieszkańców. Hasło: NAUKA SWEMU MIASTU! — nabierze pełnej treści.

Listy do Redakcji

POLEMIKI

W odpowiedzi na notatkę „Ludzie co się dzieje" (W pobliżu) z 25. II 73 r. chwyciłem za długopis, aby polemicznej tradycji stało się zadość, mimo przekonania, że znaczną część polemicznych dyskusji znaleźć można w dolnych szufladkach redaktorów nie tylko „Odgłosów", względnie w koszach, jako odpady przeznaczone na makulaturę.

Skąd takie mniemanie?

Rodzi się ono w świadomości każdego polemizującego, przekonanego, że i tak za rękopisy nie zamówione redakcje nie płacą oraz ich nie zwracają, więc co z nimi robią?

Z takim podejściem do polemik trzeba się godzić, tym bardziej, że ma się odmienne zdanie w stosunku do farbą drukarską wyłuszczonych tez i sugestii zawodowych dziennikarzy.

Po tym przydługim wstępie do rzeczy.

Zainteresowały mnie dwa artykuły: „Pokolenia" z 4 lutego 1973 roku oraz listów do redakcji „Propozycje".

Odnośnie „Pokolenia" nie neguję, że młodzież zrzeszona w organizacjach społecznych i w „związkach" współpracowała przy odbudowie kraju ze zniszczeń wojennych, że walczyła nawet w podziemiu i partyzantce o przyszłe oblicze socjalistycznej ojczyzny lecz nie mogę się zgodzić z tym, że symbolami tamtych czasów była li tylko Nowa Huta, Trasa W—Z, a z dzisiejszych — huta „Katowice" i Port Północny.

Piszącemu artykuł „Pokolenia" nie można zarzucić, że z oszczędności papieru i łamów w tygodniku, wykorzystywanych na wyolbrzymione „nagłówki", pominął w swoim artykule nie tylko tysięczną rzeszę młodych, bardzo często niezorganizowanych w „związkach" górników, włókniarzy, kolejarzy, tramwajarzy, pocztowców, stoczniowców, zatrudnionych w spółdzielczości, w rzemiośle, handlu, którzy z zapałem zawinęli rękawy i stanęli do pracy w pierwszym, jakże trudnym okresie nowej rzeczywistości...

Oczywiście, każdy przyzna, że ta rzesza młodych ludzi nie była osamotniona, ponieważ szkoliła ją i wprowadzała w arkana produkcyjne „awangarda" starych, wykwalifikowanych przywódców: robotników, brygadzistów, mistrzów, nauczycieli, techników, inżynierów, profesorów — starych, doświadczonych partyjniaków i bezpartyjnych. Wielu z nich odeszło już, względnie odchodzi obecnie na zasłużoną emeryturę... I nie będę gołosłowny, jeśli napiszę, że ci ludzie po przeczytaniu artykułu „Pokolenia", odczują jakiś kompleks, że ich wkład pracy, który otworzył młodemu pokoleniu drzwi do szkół zawodowych, liceów, politechnik i uniwersytetów, został przez autora „Pokolenia" nie dostrzeżony, lub świadomie nie chciał o nim wspominać w przededniu Zjazdu ZMS.

Nie będę wymieniał wszystkich — nie, z którymi mógłbym zapisać nie jedną czystą kartę. Ograniczę się tylko do polemiki z zakończeniem artykułu „Pokolenia", oznaczonego VI — „rzymską szóstką" i kropką.

Mówi się w nim, że nie ma sensu narzekać na młodzież, że jest zła, bezideowa, nijaka, że tylko chce, a nic z siebie nie daje. Trzeba jej po prostu umieć pokazać cel naszego działania, uczyć patrzeć w przyszłość, uczyć rozmachu i nowoczesnego myślenia. Ale tego wszystkiego trzeba też nauczyć się samemu. Inaczej bardzo trudno będzie zbudować drugą Polskę, a zbudować ją trzeba.

Oczywiście narzekanie absolutnie mnie nie pasjonuje. Jestem tylko uważnym czytelnikiem nie tylko „publikatora" pt. „Odgłosy", ale wielu innych pism, w których dowiedzieć się można, jaka jest nasza młodzież — no, może jej znaczną część... oraz bystrym obserwatorem życia codziennego.

Pewnego zimowego popołudnia dobiegła gromada uczniów z Technikum Samochodowego do przystanku tramwajowego, róg ulicy Klonowej i Limanowskiego (z ulicy Hipotecznej). W oczekiwaniu na tramwaj toczyła między sobą formalne boje, rzucając niby to dla zabawy twarde śnieżne kule, nie bacząc, że dostało się przy tym starszej kobiecie po plecach, po twarzy, że brzęczały szyby w narożnym domu i mijających przystanek tramwajach, gdyż celowano do wskakujących w biegu kolegów. Nie wiemy, czy nasza interwencja w u przygodnie napotkanego milicjanta odniosło jakiś skutek w szkole?

Oczywiście nasza młodzież nie jest zła, tylko garstka nie potrafi obejść się bez „kota", bo wtedy „myszy tańcują, jak kota nie czują".

Tylko „garstka", niewielka, rozsiada się na miejscach siedzących w tramwajach, gdy obok stoi w starszym wieku robotnica, wracająca z pracy, obładowana zakupami, aby ta właśnie młodzież otrzymała obiad na czas, po przyjściu ze szkoły. Nie brak wśród niej młodzieży z tarczami licealnymi na rękawach i innych szkół.

Przykładów traktowania pracy, ot tak sobie, aby dzionek przeszedł, nie będę przytaczał: o tych „pajdokratach" mogą coś powiedzieć brygadziści, mistrzowie, kierownicy mający tę młodzież pod opieką w stażu uczniowskim, przygotowującym do zawodu; o fluktuacji i gonitwie za lekką pracą — też.

Każdy z nas, używający, zdaniem redaktora słów: „Kiedy my byliśmy młodzi") — wie, że młodzież musi się wyszumieć, ale niech to robi kulturalnie, kieruje swoje zainteresowania w wyżywaniu się na boiskach sportowych, w świetlicach i domach kultury, w pracy przy „Dobrej Robocie".

Rozejrzyjmy się dookoła, a stwierdzimy, że nie jest wcale tak dobrze, jak to artykuł „Pokoleń„ sugeruje.

Czy redaktor artykułu może się pokusić, aby wyliczyć, ile pracy i złotówek się niszczy każdego roku w całym kraju na wysiewanie trawy na trawnikach, nie tylko w nowych osiedlach. Aż krew zalewa, gdy się pomyśli, że nasze czyny społeczne w krociowych milionach idą na marne.

I znów otrzymam prawdopodobnie odpowiedź, że to od nas „starszych" zależy, że winniśmy wychowywać, szkolić... Przepraszam, że przytoczę słowa z „Kwarantanny" J. Słowackiego: „Smutno mi Boże", gdyż wiem, że nawet tabliczka „Zieleń zdobi, daje zdrowie", nic nie pomoże... a nie ma zbyt dużo harcerzy, ZM-owców i Ormowców, co by sypali mandatami. Więc większość społeczeństwa przechodzi koło tych spraw obojętnie, ludzie boją się, żeby czasem nie tylko śnieżną kulką, ale jakimś twardym narzędziem w skroń nie dostali.

Widzę dwa rozwiązania tego problemu. Jeden, skoro w czynie społecznym kopiemy, siejemy i sadzimy drzewa, zobowiążmy ZMS do jeszcze jednego, razem z harcerstwem, patronatu, jak to czynią pionierzy w ZSRR. Byłem w Moskwie i zwiedziłem cały Krym i Kaukaz, widziałem na własne oczy, jak ta pionierska młodzież opiekuje się trawnikami, krzewami i drzewkami, rosnącymi wzdłuż chodników, ulicznych, na skwerach i w alejach.

Drugi sposób, to aby drogowcy, zanim wyłożą chodniki płytami, zanim wytyczą miejsca na skwerki, ułożyli płyty chodnikowe, uwzględniając wydeptane przez pieszych ścieżki, ponieważ dla skórcenia sobie drogi i tak zieleniec zostanie zdeptany.

Na tym sprawę „Pokoleń" kończę.

Odnośnie „Propozycji" Krzysztofa A. Kuczyńskiego, asystenta Uniwersytetu Łódzkiego, aby na gościnnych łamach „Odgłosów" zorganizować stały konkurs na najlepsze książki naszych łódzkich autorów, dodaję od siebie:

„Odgłosy" są tygodnikiem społeczno-kulturalnym o wiele za skromnym na nasze łódzkie aspiracje, zbyt skromnym co do objętności i treści dla tysięcznej rzeszy ludzi ze średnim i wyższym wykształceniem, zdobytym już na naszych uczelniach i szkołach, łaknących drukowanego słowa na pewnym poziomie.

Zapytuję się, poza tym, dlaczego nie można wprowadzić do „Odgłosów" stałych konkursów: a. za najlepszy debiut książki, prozą napisanej, traktującej o dawnych i obecnych czasach, przeżytych przez środowisko łódzkich robotników; b. na debiut poezji mówiącej o środowisku łódzkim; c. na wspomnienia i pamiętniki.

Zapytuję się wprost, dlaczego takie inicjatywy podejmowały dzienniki łódzkie: „Express Łódzki", „Dziennik Łódzki", „Nasze Życie", warszawska „Polityka", wrocławski WTK a nie „Odgłosy", tygodnik szumnie określający się jako społeczno-kulturalny środowiska łódzkiego.

Najwyższy czas, aby pod tym względem coś się zmieniło... aby i debiutant, być może utalentowany robotnik, mógł wypróbować swoje umiejętności... by nakład „Odgłosów" wzrósł.

ALFRED ZAJDEL
(Łódź)

OD REDAKCJI:

Moja notka pt. „Ludzie, co się dzieje" z rubryki „W pobliżu" wywołała polemiczne refleksje Alfreda Zajdla. Sądzi on, że polemik jest tak mało i to tylko dlatego, że artykuły polemiczne leżą w redakcyjnych szufladach lub wędrują do kosza. Autor listu sam zresztą sobie zaprzecza, powołując się na „Propozycje" drukowane w rubryce „Listy do redakcji". A więc nie wszystko idzie do kosza, czego dowodem są coraz obszerniej drukowane listy, a także artykuły polemiczne. Brak polemik bierze się raczej z niechęci do uprawiania tego gatunku, który wymaga poglądów, argumentów i odwagi publicznego ich prezentowania.

MARCIN RODAK

W sprawie polemiki z moim artykułem pt. „Pokolenia" mogę stwierdzić tylko tyle, że nadal podtrzymuję pogląd, że nie mamy takiej złej młodzieży, jak o niej sądzimy. Kilka przykładów że gdzieś ktoś siedział w tramwaju, a starsi stali lub, że młodzi bili się przy wsiadaniu do autobusu, poglądu tego nie zmienia i zmienić nie może.

Poza tym żaden autor nie jest w stanie napisać o wszystkim i zawsze kogoś swoim pisaniem nie zadowoli. Jeśli natomiast jego artykuł wywołuje u Czytelnika refleksje, to jest to już powód do zadowolenia. I za tę satysfakcję, jaką sprawił mi list Alfreda Zajdla serdecznie mu dziękuję.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

LOSY MOICH BOHATERÓW

KAROL BADZIAK

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Dziś jest okazja, aby się zwierzyć, że ja tam tak bardzo znów swoich bohaterów nie kocham. Nie bronię ich też z czystej miłości, wcale również nie uważam ich za postaci kryształowe i szlachetne w każdym calu, ale staję po ich stronie dlatego, że mają oni akurat w tym momencie, w tym konflikcie, czy w tej sytuacji po prostu rację. Ściślej — jestem przekonany, że racja, że słuszność, że prawda jest po ich stronie. Inna sprawa, że lubię walkę i dobrego przeciwnika.

Nie ulega wątpliwości, że jedną z cięższych potyczek stoczyłem o **JANA KARDASA z Piotrkowa.** Czytelnikom „Odgłosów" przypomnę, że ów Kardas przywiózł do szpitala rannego, ale zamiast wdzięczności spotkała go kara. Napisałem w jego obronie dwa artykuły oraz byłem współpracownikiem audycji w „Kontaktach". Poskutkowało. W tym jednym, jedynym wypadku mogę rzeczywiście mówić o pełnym sukcesie. **Ale nie moim. Tylko telewizji.**

Odwiedziłem Jana Kardasa, lecz nie zastałem go w domu. Jego rodzice poinformowali mnie, że sprawa została umorzona, nawet przysłano z sądu zwrot kosztów. Skompromitowani i zdyskredytowani przeciwnicy zaniechali rewanżu, przynajmniej do tej pory. Lekarz Krzysztofik, który wytrzaskał Kardasa po gębie, został przez komisję dyscyplinarną przy Ministerstwie Zdrowia potraktowany ulgowo. Nie dopatrzono się w jego postępowaniu żadnej winy. Jedynie na pielęgniarce, żonie Sieradzkiego, który był świadkiem Kardasa w sądzie, usiłowano początkowo się odegrać, wstrzymując jej na przykład wypłatę przyznanej już uprzednio nagrody za dobrą pracę. Ale później, prawdopodobnie z obawy przed nową aferą, powstrzymano się od tego rodzaju szykan.

W ogóle wszyscy wyszli z tej sprawy cało i szczęśliwie. Ranny wyzdrowiał, wyjechał do pracy na Śląsk. Przeciwko taksówkarzowi, który go potrącił i uciekł, dochodzenie umorzono. Było, przeszło, minęło. Mam cichą nadzieję, że jednak kilka osób wyciągnęło z tej przygody trochę wniosków natury etycznej.

Gorzej powiodło się MIECZYSŁAWOWI RYKAŁE, zootechnikowi wylanemu z pracy w **Zakładzie Doświadczalnym Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa w Błoniu-Topola.** Pisałem o nim przed dwoma laty. Mój reportaż zatytułowałem **„Wróg powiatowy nr 1".** Nie dość bowiem, że Rykałę zwolniono z pracy, to na dodatek ówczesny przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łęczycy zakazał go w ogóle zatrudnić na terenie powiatu. Rykała to jednak twarda sztuka, ponieważ uważa, że został zwolniony bezpodstawnie, odwołał się do komisji rozjemczej, komisja zrobiła unik i skierowała sprawę do sądu. Proces o przywrócenie do pracy trwa do tej pory.

Prywatnie mogę się dziś przyznać, że nie tylko mi w tym reportażu chodziło o obronę Rykały, ale również o zwrócenie uwagi na nieporządek w Zakładzie Doświadczalnym. Mleko tam wylewano do gnojówki, fałszowano rzepak, którym później rolnicy obsiewali ziemię, bezskutecznie czekając, aż ten rzepak wzejdzie. Rykała zbyt dużo na ten temat wiedział i widział, więc musiał odejść.

Po ukazaniu się reportażu w „Odgłosach" powołano specjalną komisję do zbadania tej sprawy, prokuratura wszczęła dochodzenie, zarzuty się potwierdziły, sprawę umorzono. A uparty jak osioł Rykała w dalszym ciągu chce wrócić do pracy w tym zakładzie. Dyrektor też chłop uparty. W czasie posiedzenia komisji rozjemczej oświadczył, że w gruncie rzeczy to mu już wszystko jedno, tylko dyrektorski honor mu nie pozwala Rykały przyjąć do Zakładu. Rykała chce zaś wrócić, bo mówi, że kocha bydło i nie może patrzeć jak zdychają prosiaki i warchlaki. Faktycznie, w ubiegłym roku jedna czwarta prosiąt padła. W trakcie ostatniej kontroli zanotowano znaczny spadek produkcji zwierzęcej, spadek wydajności mleka i równocześnie zwiększenie zużycia paszy. W porównaniu do roku 1969/70, kiedy to wszystkie zwierzęta znajdowały się pod opieką zootechnika Rykały, wydajność mleka od sztuki spadła średnio o 350 l rocznie, a zużycie pasz wzrosło o 1,39 q.

Cóż, honor jest ważniejszy niż hodowla, szczególnie honor dyrektorski. Dyrektor uważa, że w Zakładzie Doświadczalnym zootechnik jest mu niepotrzebny, wystarczy oborowy.

W powiecie łęczyckim brakuje zootechników, zresztą jak wszędzie na wsi, a Rykała, który jest naprawdę świetnym fachowcem, zatrudnia się jako instruktor Zarządu Powiatowego ZMW oraz uczy w szkole. Nie wątpię, że są to szlachetne zajęcia, lecz można je wykonywać bez dyplomu magistra Wyższej Szkoły Rolniczej. Nie opuszcza go jednak nadzieja, że sprawiedliwości stanie się zadość. Szkoda, że nie mogę podzielać jego optymizmu.

Moja kolekcja byłaby niepełna, gdyby zabrakło w niej **ZDZISŁAWA SOBCZAKA z Rafałówki**, o którego stoczyłem ostrą utarczkę z Haliną Batorowicz w reportażu pt. **„Zakończona sprawa".** Rzecz była o tyle nieprzyjemna, że uczciwość zawodową musiałem tu przedłożyć nad solidarność zawodową. Moja sympatyczna koleżanka po fachu, którą naprawdę wysoko cenię, dała się zwyczajnie podprowadzić i niechcący skrzywdziła porządnego człowieka, występując w obronie nieuczciwej pracownicy.

Stanąłem w obronie Sobczaka, kierownika prewentorium w Rafałówce, który zwolnił z pracy ową nieuczciwą pracownicę, ponieważ spostrzegł, jak wynosiła z zakładu kradzione wędliny. Zwolniona kobieta udała się na niego ze skargą do związków zawodowych, okazało się zaraz, że jest w ciąży, no i w ogóle że Sobczak napadł na nią w lesie, usiłując dodonać bezprawnej rewizji itp. Chłop znalazł się w opałach i było z nim bardzo krucho. Utarł się u nas bowiem taki szlachetny zwyczaj, że w konflikcie podwładnego z przełożonym, wszyscy stają po stronie zwolnionego z pracy, jako że on jest rzekomo stroną słabszą. Tylko dziwne, że w konflikcie Rykały z dyrektorem ta szlachetna zasada jakoś nie zagrała.

Udało mi się jakoś Sobczaka wybronić. Po roku został przeniesiony z Rafałówki do Rożdżał na dyrektora tamtejszego domu dla nieuleczalnie chorych. Słusznie mu się ten awans należał. **Ostatnio, w czasie reformy administracji wiejskiej został powołany na przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej w Warcie.**

Broniąc Sobczaka, obroniłem coś więcej niż jednego człowieka. Ludność miejscowa znała dokładnie całą sprawę, wiedziała kto kim jest, i opowiadała się całkowicie z Sobczakiem Gdyby go wówczas zwolniono ze stanowiska i ukarano, wiele osób straciłoby wiarę w sprawiedliwość, a w lud poszedłby morał: „Nie warto łapać złodziei, bo człowiek posadę straci".

Najsmutniejszą sprawą w mojej praktyce to była sprawa **MARIANA BORCHARDTA, optyka.** Na przykładzie tego zdarzenia doszedłem do pewnej prawdy, którą można sformułować w sposób następujący: Im większa nikczemność spotkała człowieka, tym większą zawziętość wykazują sprawcy. Im sprawa jest prostsza, tym trudniejsza do obrony. To zrozumiałe, sprawcy czują się wtedy bardziej zagrożeni.

Przypomnę w skórcie o co poszło. Marian Borchardt, właściciel małego zakładu optycznego mieszczącego się kątem u zegarmistrza przy ul. Wschodniej, pracował w **Spółdzielni Pracy Lekarzy Specjalistów.** Po 10 latach Spółdzielnia doszła do wniosku, że jest to niezgodne z przepisami i zwolniono go. Pal licho pracę w Spółdzielni, ale usiłowano mu przy okazji w ogóle zabronić wykonywania szkieł kontaktowych. Tymczasem jest on, jak dotąd, jedynym specjalistą tego rodzaju w Polsce. Jest i nic nikt na to nie poradzi. Ale proszę sobie wyobrazić (choć to jest trudne), że Wydział Zdrowia i Izba Rzemieślnicza czyniły wszystko, ażeby mu zakazać tej produkcji. A przecież człowiek ten, swoim wysokim rzemieślniczym kunsztem, przywraca ludziom niejako wzrok. Ślepota jest najstraszliwszym z kalectw. Ale na urzędniczy rodzaj ślepoty szkieł kontaktowych, niestety, nie ma.

W sprawie Mariana Borchardta „Odgłosy" zorganizowały przed dwoma laty całą wielką kampanię publicystyczną. Publikacje swe na ten temat podpierałem tragicznymi w swojej wymowie listami pacjentów oraz wyjaśnieniami urzędników magistrackich, spółdzielczych i rzemieślniczych, których można było posądzać o działanie z najniższych pobudek w tej sprawie. Ponad pół roku toczył się bój z ogólną zaćmą. Prezes Izby Rzemieślniczej przysłał nawet do redakcji oficjalne pismo, w którym stwierdził, że prywatny właściciel zakładu optycznego nie ma prawa wykonywać szkieł kontaktowych dla ludności. Przeciwko był nawet sam kierownik Wydziału Zdrowia. O stosunku Ministerstwa Zdrowia nie ma co wspominać, było enigmatyczne, też, oczywiście na „nie", lecz w sposób inteligentniejszy. W końcu, żeby uciszyć hałas, rozpętany przez naszą redakcję, Borchardta na parę miesięcy do Spółdzielni przyjęto, a później rozstano się z nim na zawsze. Dodam tylko, że gdyby Ministerstwo Zdrowia chciało powołać Instytut do Produkcji Szkieł Kontaktowych, musiałoby swój roczny budżet zwiększyć co najmniej o 10 milionów złotych. Póki co, prosty rzemieślnik wyręcza Instytut.

Co najciekawsze, a to już dziś mogę ujawnić, Marian Borchardt otrzymał wówczas pismo oficjalne z **Departamentu Usług Komitetu Drobnej Wytwórczości, które stwierdzało — ni mniej ni więcej, że od tego jest optykiem i od tego ma zakład optyczny, żeby wykonywać usługi optyczne.** W tym mieszczą się również szkła kontaktowe. Oddzielne zezwolenie nie jest wcale potrzebne.

W tej sytuacji więc wszystkie zakazy, naciski i groźby, stosowane wobec Mariana Borchardta przez lokalne władze były bezpodstawne i bezprawne. Wskutek naszej usilnej interwencji przyrzeczono mu nowy lokal. Do dziś żadnego pomieszczenia nie otrzymał. Nadal gnieździ się w ciasnej klitce, na zapleczu zakładu zegarmistrzowskiego. Pracuje i myśli twórczo. **Niedawno znów opatentował jeden ze swych wynalazków, specjalny rodzaj okularów podwodnych.**

W tak zdaje się oczywistych sprawach, ile trzeba było wysiłku, uporu, atramentu, papieru i farby drukarskiej, żeby je jakoś załatwić. Czy takie historie powinny nas zniechęcać? To kwestia usposobienia, mnie one mobilizują. Na walkę z głupotą nie ma zresztą nikt monopolu, wszyscy mogą w niej uczestniczyć. Ja na razie odpoczywam.

O SPOŁECZNEJ PERCEPCJI POEZJI, CZYLI O NICZYM

MAREK WAWRZKIEWICZ

Doszedłem ostatnio do optymistycznego wniosku, że pisanie wierszy nie jest czynnością szkodliwą społecznie. Poezja, jako zawód życiowy (a nie profesja), osadziła się na tej „klerkalnej" poezji dość mocno; w naszej codziennej rzeczywistości nie widzę żadnych symptomów zmian, które niekiedy usiłują wywąchać pesymiści. Próżny, doprawdy niepokój: pisanie wierszy nie może społeczeństwu zaszkodzić, ponieważ wierszy nikt nie czyta. W tej sytuacji samą czynność twórczą można uznać co najwyżej za marnowanie czasu. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że wiersze pisywane są przez poetów poza godzinami ich biurowej pracy — łatwo dojdziemy do wniosku, że straty wynikłe z marnowania papieru są znikome. Znam zresztą kilka innych, o wiele skuteczniejszych sposobów marnowania tego deficytowego wiecznie artykułu. Jest to jednak zupełnie inna sprawa. Bądźmy optymistami: poezja nikomu — w przeciwieństwie do anoninów — nie szkodzi.

Poeci piszą wiersze, a czytelnicy twierdzą, że to nie jest poezja. Poeci w szaleńczym dążeniu do „użyteczności społecznej" swych wierszy, piszą je tak, aby były podobne do konstrukcji poetyckich, do których publiczność przywykła, ale publiczność wie lepiej, wie z góry, że wiersze są trudne i niezrozumiałe. „Dlaczego nie piszecie tak jak Adam Mickiewicz?" — pyta społeczeństwo. I nie czyta Adama Mickiewicza. Bo to jest też poeta od stania na półce, a nie do czytania. Społeczeństwo stawia poezji wiele warunków, poeci zaś spełniają je, albo nie. Ale gdyby nawet wszystkie warunki zostały spełnione — i tak nic by się nie zmieniło w czytaniu poezji. Stanisław Zieliński wyjął społeczeństwu z ust pewne stwierdzenie, którego przynajmniej druga część wydaje mi się szalenie adekwatna do sytuacji: **„Ani cebulki, ani w co wkroić".** I przez to stwierdzenie nie możemy się przebić trzydzieści prawie lat.

☆ ☆ ☆

Kolejka w sklepie z warzywami. Zażywna pani domu zamurowała jej ruch na amen. Wybrzydza nad każdą marchewką, dyskwalifikuje co drugą pietruszkę, medytuje nad selerem. Ekspedientka wznosi oczy do nieba, kolejka warczy. W końcu nie wytrzymuje nerwowo jakiś mężczyzna:

— Co się pani tak zastanawia, kontrtorpedowiec pani kupuje?

— **„Poeta"** — odpowiada mu obelżywie ta pani.

Z zupełnie niewytłumaczalnych powodów i bez żadnego wpływu na własny rozwój intelektualny obcuję czasem towarzysko z pewnym inżynierem. Psychiatrzy powiedzieliby zapewne o nim, że osiągnął przeciętny poziom inteligencji, w każdym razie jego umysłowość nie wyrasta nad poziomem ogólnym na kształt — powiedzmy — kopca Kościuszki. Prawdopodobnie zresztą jest niezłym fachowcem — trudno mi się na ten temat wypowiadać, ponieważ z matematyką, fizyką i chemią mój niechętny kontakt naukowy uległ definitywnemu rozwiązaniu parenaście lat temu i niech mnie ręka boska broni przed ewentualnością jego odnowienia. Właśnie dlatego, że jest tak, a mam błogą nadzieję, że tak będzie do końca dni moich — nie podejmuję się oceny fachowości mego inżyniera, nigdy też nie usiłuję dyskutować o sprawach, które dla niego są chlebem codziennym, dla mnie zaś czarną magią.

Nie odpłaca on mi się jednak dobrym za lepsze, oj nie. Mój inżynier uważa, że dociął mi szczególnie złośliwie wtedy, kiedy zrobi jakąś aluzję do poezji (np. — **„to nie poezja, tu trzeba myśleć..."**, lub gdy w towarzystwie nazwie mnie poetą. Jest on reprezentantem pewnej schizofroidalnej idei społecznej, utrzymującej, że pisanie wierszy jest czynnością nie kontrolowaną przez rozum; poeta według tego rozeznania społecznego wisi w obłoku kawiarnianego dymu lub przynajmniej z 10 cm nad własnym biurkiem, lot zaś poezji jest tym wyższy, im wyżej poeta wisi.

Sądzę ponadto, że mój inżynier jest rodzajem ognistego miecza zemsty, którym wymachuje społeczeństwo. Społeczeństwo mści się na poezji za koszmarne lata edukacji szkolnej. Bykowcem wtedy przeganiano społeczeństwo przez mickiewiczowskie zagony, przez bezdroża smutku Słowackiego, przez piaszczyste wzgórki Kasprowicza. I teraz już społeczeństwo wiersza do ręki nie weźmie. Kiedy mój inżynier mówi **„poeta"** — brzmi to tak, jak odgłos pukania się palcem w czoło.

☆ ☆ ☆

Miesięcznik społeczny „Scena" przysłał mi list. Oto jego fragmenty z komentarzem.

„Szanowny Panie, w świadomości społeczeństwa poezja funkcjonuje głównie przez książki, telewizję, radio, czasopisma".

To nieprawda. Bo fakt, że wiersze tam się ukazują, nie znaczy jeszcze, że poezja funkcjonuje w świadomości społeczeństwa. To, co się z poezją w świadomości społeczej dzieje, nie jest funkcjonowaniem. Jest konaniem.

I dalej:

„Dzięki twórczemu ruchowi wierszomówienia utworzył się jakby nowy obwód obiegu poezji w społeczeństwie... Poezja wraca w ten sposób do swoich pierwotnych form bytowania".

Ładne rzeczy, tylko nam tego brakowało! Jeśli w warunkach rewolucji technicznej poezja musi wracać do bytowania form pierwotnych, to jest to rodzaj obłędu. Zaczniemy pewnie

„BKD"

Przed trzema laty w 1970 roku ukazała się mała książeczka sygnowana trzema literami: BKD. Autorem był Andrzej F. Grabski, a jej tytuł brzmiał: „Bolesław Chrobry 967—1025". Na początku tego roku ukazała się znów podobna książeczka tegoż autora — „Mieszko I ok. 930 — 992". Otwiera ona trzeci rok istnienia ciekawej serii wydawniczej MON, noszącej ogólne hasło „Bitwy, Kampanie, Dowódcy".

Seria ta została wskazana uczniom starszych klas szkół podstawowych jako lektura uzupełniająca. Ale nie tylko dla nich przeznaczona jest „historia w wydaniu kieszonkowym". To określenie nie ma znaczenia ujemnego. W wielu krajach najpoważniejsze książki ukazują się w takim właśnie formacie, bo przecież nie format decyduje o wartości książki, ale jej autor.

W serii BKD publikuje wielu znanych autorów. O bitwie pod Studziankami pisał Janusz Przymanowski, o Monte Cassino — Olgierd Terlecki, o gen. Józefie Chłopickim — Stanisław Szenic, o Władysławie Jagielle — S. M. Kuczyński. To tylko niektórzy. Nie sposób bowiem wymienić wszystkich, którzy dla Wydawnictwa MON przygotowują małe, historyczne monografie o ludziach i wydarzeniach.

Taką właśnie, popularną, ale nie zatracającą przez to swoich naukowych walorów, monografię Mieszka I dał A. F. Grabski. Opierając się na bogatej literaturze naukowej i własnych badaniach, przedstawił dzieje pierwszego historycznego władcy Polski w sposób wielce interesujący, przeznaczając tę lekturę zarówno dla czytelnika młodego, jak i starszego pokolenia. Dla wszystkich, których interesuje historia naszego narodu.

Andrzej F. Grabski „Mieszko I ok. 930—992", Wydawnictwo MON, Warszawa 1973, str. 163, cena 8 zł.

LUDZIE ŻYWI

„Był to umysł najbardziej pozytywny lub najmniej romantyczny w XIX wieku, jeden z tych ludzi, którzy umieją chodzić po ostrzu brzytwy, którzy potrafią zjednywać sobie siły rewolucyjne i równocześnie je zwalczać, potrafią także natchnąć nadzieją zapalone głowy i dodawać otuchy konserwatystom" — tak scharakteryzował Pietro Nenni hrabiego Kamila Cavoura, jednego z głównych twórców niepodległości włoskiej, pierwszego premiera zjednoczonych Włoch, i kto wie, czy nie największego męża stanu w Europie wieku XIX.

Obszerną monografię Kamila Cavoura przygotował Adam Ostrowski, który jest także autorem publikacji o Garibaldim. Obie książki ukazały się w popularnej serii PIW „Ludzie żywi". „Hrabia Kamil Cavour" to już 23 pozycja tego cyklu. Wcześniej ukazały się na przykład: Pawła Hertza „Słowacki. Romans życia", Stanisława Szenica „Maria Kalergis", Wiktora Woroszylskiego „Życie Majakowskiego", Marii Szypowskiej „Konopnicka, jakiej nie znamy", Juliana Krzyżanowskiego „Henryka Sienkiewicza żywot i sprawy".

Już choćby z tego krótkiego zestawienia widać, że warto zainteresować się tą niezwykle ciekawą i pożyteczną serią, której autorzy w oparciu o naukowe źródła żywo i atrakcyjnie przedstawiają losy wielu wybitnych ludzi. Z tego samego powodu warto sięgnąć po nową książkę Adama Ostrowskiego. Tym bardziej, że jego praca o Cavourze jest jedyną polską monografią tego wybitnego polityka włoskiego.

B. M.

Adam Ostrowski, „Hrabia Kamil Cavour", PIW, Warszawa 1972, str. 478, cena: 60.— zł.

---

produkować liry i gęśle. Warto też przypomnieć o zwyczaju praktykowanym przez niektóre ludy — o oślepianiu poetów, aby lepiej widzieli otaczający ich świat.

* * *

Pewien mój znajomy poeta sprawił sobie mały kontestator domowy. I pisze wiersze kontestacyjne. Programowo nie zgadza się ze wszystkim, co się u nas dzieje, szuka tematów wyłącznie w najciemniejszych zaułkach życia społecznego, w jego nieprawidłowościach. Stwarza w swojej poezji sytuacje bez wyjścia, jego program poetycki jest najbardziej lakoniczny z wszystkich możliwych i brzmi — **„nie"**. Czy nie może zaproponować niczego na **„tak"?**.

— Stary — powiada mój znajomy poeta — **ja bym mógł pisać wiersze aprobujące, gloryfikujące. Nie jestem taki głupi, żebym nie spostrzegł w naszej rzeczywistości rzeczy zasługujących na gloryfikację. Ale co mi to da? A jak kontestuję — to przynajmniej mnie znają.**

* * *

Mój przyjaciel, **Jerzy Górzański**, wydaje trzecią książkę poetycką. Jest autorem wierszy znakomitych. Nie ma w nich nic z parnasizmu. To są wiersze o nas wszystkich, o sprawach, które wszystkich obchodzą. Nie mylę się — jest jednym z najwybitniejszych poetów mojego pokolenia i z pewnością należy mu się jeśli nie sława, to przynajmniej rozgłos. Owszem, zdobył go — niedawno, kiedy zaczął pisać o sporcie. **„Muzo, nie być bokserem, to jest nie być wcale".**

* * *

Przy okazji jakiegoś literackiego zjazdu, spotkałem się z liczną grupą przyjaciół poetów. Pomyśleliśmy, że dobrze by było wieczorem pogadać przy kielichu. Grono było liczne. Do wiadomego sklepu wydelegowano mnie i mojego przyjaciela, Edwarda Stachurę. Weszliśmy. I rzekł Stachura: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, poproszę dwa litry gorzały". „Poeta" — powiedziała pani zza lady i był w tym cień uznania.

Więc może istnieje jeszcze jakaś społeczna szansa?

SPRZED 15 LAT

CZYTELNICY O „ODGŁOSACH"

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Przy narodzinach „Odgłosów" byłem, powiem więcej — pomagałem przy odbieraniu tego, nieco krzykliwego dziecka z rąk „Głosu Robotniczego", ojca dzisiejszego jubilata. Trzeba w tym miejscu wyjaśnić, że przez pewien czas „Odgłosy" egzystowały jako coś w rodzaju niedzielnego dodatku partyjnej gazety i nie miały swojego naczelnego redaktora, choć godzi się w tym miejscu przyznać, że szef „organu" nigdy się do „Odgłosów" nie wtrącał.

Od samego początku, tak to przecież musiało być, szedł spór o koncepcję „Odgłosów", ich model. Pomysłów nie brakowało. Jedni doradzali magazyn. Inni proponowali klasyczne pismo literackie. Trafiali się zwolennicy tygodnika sportowego. Podsuwano także próbę skrzyżowania „Przekroju" z „Trybuną Ludu".

Stanęło ostatecznie w pierwszych pięciu latach na modelu pisma społeczno-kulturalnego o pochyleniu magazynowym. Formy magazynowe tyczyły głównie spraw kultury. Osobne, ilustrowane kolumny posiadały film i telewizja, gdzie obok poważnych ocen i propozycji, pojawiała się także informacja, a nawet sensacyjka ze snobistycznego świata filmowo-telewizyjnego. Wychodziliśmy z założenia, że szeroka publiczność interesuje się żywo środkami masowego przekazu i filmem, pragnęliśmy wspólnie z czytelnikiem odrzucać ziarno od plewy, co w tych sztukach nie jest również i dziś takie łatwe.

Interesowała nas, rzecz prosta, literatura. Wielu znanych już dzisiaj poetów i prozaików stawiało w „Odgłosach" pierwsze kroki, obok pisarzy uznanych. Te, regularnie oddawane do rąk czytelnika, prezentacje poetów i prozaików, bywały z reguły wzbogacane przez pisarzy felietonami, artykułami i reportażem. Towarzyszyli nam dzielnie dziennikarze, zwłaszcza w reportażu. Próbowaliśmy penetrować rozmaite obszary życia, możliwie szeroko, choć — być może — nie zawsze spotykaliśmy się z uznaniem bezpośrednio dotkniętych. Społecznymi marginesami epatowaliśmy czytelnika stosunkowo rzadziej, interesował nas główny nurt edukacji. Pamiętam, że szczególnie silne namiętności wywołał nasz cykl reportaży, poświęcony młodzieży akademickiej, szczególnie zaś stosunkom, jakie podwórcza panowały na osiedlu akademickim przy ulicy Hystrzyckiej. Groziło nam publiczne palenie pisma, do czego wszakże nie doszło.

Dyskusje, wymiana zdań, stanowiły istotny komponent „Odgłosów", choć nie zawsze udany. Przypominam sobie zawzięty spór o operę w Łodzi. Bardzo poważni ludzie twierdzili, że jest to nikomu niepotrzebny relikt, po co galwanizować trupa za ciężkie miliony. W dyskusji zwyciężyli zwolennicy opery, a właściwie ona sama zwyciężyła. Z okazji lotu pierwszych kosmonautów dyskutowaliśmy problem podróży kosmicznych, przy czym — proszę sobie wyobrazić — ówczesny prezes łódzkich pisarzy twierdził uporczywie, że człowiek jest raz na zawsze ziemi przypisany i nigdy do księżyca nie doleci. Interesowały nas sprawy geografii kulturalnej Łodzi, jego tradycje, a i takie niebagatelne sprawy, jak zaopatrzenie miasta.

Nie uciekaliśmy od uśmiechu, drukowaliśmy również satyrę, fraszki, a przede wszystkim cykl przedstawiający najostrzejsze ołówki świata, prezentujący satyrę rysunkową wszystkich kontynentów.

Nakładowo stały „Odgłosy" dobrze, przekraczaliśmy z reguły 20 tysięcy.

Na zakończenie jeszcze kilka słów o atmosferze redakcyjnej. Stają mi przed oczyma, żyjący zresztą, współpracownicy. Wypełniali po brzegi chudziutkie pokoiki redakcji, kłócili się nieprawdopodobnie, pisali nie zawsze przyzwoite recenzje z książek na ścianie, pewnie dlatego, że mało mieliśmy miejsca w piśmie. Chyba z tego samego względu redagowali za darmo niezwykle gazetki ścienne. Ale nie o to chodzi. Zawsze mnie przerażały puste redakcje, poważni redaktorzy — mumie pryncypialne, ustawiacze i modelatorzy. Bractwo kipiało pomysłami, sypało tematami jak z rękawa, numery rodziły się często w locie, jako rezultat nieustannej dyskusji, co wszakże nie zawsze można było uznać za zaletę. Trafiały się bowiem materiały przypadkowe, nie przemyślane do końca, niekiedy błahe, a więc niepotrzebne, obniżające poziom pisma. Broniłbym jednak owej atmosfery, którą tak miło po latach wspominać, sądzę bowiem, że redakcja tygodnika powinna być miejscem zdrowego fermentu intelektualnego.

JAN KOPROWSKI

Obejmując redakcję „Odgłosów" po moim poprzedniku, Wacławie Bilińskim, nie miałem „rewolucyjnych" zamierzeń programowych w stosunku do pisma, które wchodziło w dziesiąty rok swego istnienia. Uważałem wówczas i jestem tego zdania dziś, że w kulturze najważniejsza jest ciągłość. Zaczynanie wciąż wszystkiego od nowa jest pogardą dla przeszłości. A przecież życie nie zaczęło się dziś i nie skończy się jutro. Było przedtem i będzie potem. Przekonanie, że mój poprzednik nie wiedział nic, a ja wiem wszystko — byłoby oznaką wielkiego duchowego ubóstwa.

Zarówno pierwszy redaktor naczelny „Odgłosów", Wiesław Jażdżyński, jak i drugi, wspomniany już Wacław Biliński, zrobili wiele, aby pismo ugruntować. I moje przyjście do redakcji rozumiałem jako rozwinięcie tego, czego oni dokonali, połączone z próbą wprowadzenia nowych urozmaiconych form pracy redakcyjnej. Przede wszystkim zwróciliśmy się z ankietą do czytelników, co sądzą o „Odgłosach", czego im w nich brak i czym, ich zdaniem, należałoby pismo wzbogacić. Ankieta się powiodła tzn. utwierdziła nas w kontynuowaniu pewnych istniejących już działów i dała asumpt do kilku pomysłów, które okazały się skuteczne, gdyż nakład pisma począł stopniowo wzrastać.

Chociaż nie byłem nowicjuszem na redaktorskim stolcu, bo kierowałem kiedyś redakcją „Łodzi literackiej", a następnie „Kroniki", praca w nowym tygodniku, podjęta w innej sytuacji polityczno-społecznej, wymagała ode mnie i od całego zespołu „Odgłosów" dużej czujności i nieustannych zabiegów, aby pogodzić dwie sprzeczne z pozoru rzeczy: przyzwoity nakład i przyzwoity poziom literacki. Pisząc „poziom literacki" mam na myśli poziom każdej drukowanej pracy, nie tylko utworu ściśle literackiego. Każdy, kto kiedykolwiek parał się redagowaniem, wie, ile wymaga to czasu i jak bardzo człowieka absorbuje. Nie chodziło przecież tylko o technikę redakcyjną, pismo miało ambicję stworzenia wokół siebie aktywnego środowiska, odbywania spotkań i dyskusji na aktualne i palące tematy kulturalne, literackie i społeczne. Nie mnie sądzić, czy i w jakim stopniu nam się to udało. Jedno w każdym razie jest pewne: redakcja nie może być biurem, redakcja winna być forum dyskusyjnym. Ludzie powinni mieć ochotę przychodzenia do redakcji z materiałem i pomysłami, a choćby tylko z potrzeby pogadania i wymiany poglądów. I jeszcze jednego nauczyła mnie praktyka redakcyjna: umiejętności stosowania kompromisu. Autorzy powodowani nadwrażliwością wzniecali często istne piekło z byle powodu, o szczegół: o pominięcie w jakimś podsumowaniu ich nazwiska, ba! o wydrukowanie nazwiska zbyt małą czcionką, albo o zamieszczenie utworu w nieefektownym miejscu. Były i takie przypadki, że X nie życzył sobie, by jego pracę drukować na tej samej stronie, co artykuł N.

Dewiza, którą się kierowałem, brzmiała: tylko spokój może nas uratować. Ten spokój kosztował niekiedy bardzo wiele. Ileż razy trzeba było zapanować nad sobą, choć miało się ochotę „wygarnąć prawdę" temu lub innemu autorowi. Myślę, że w redakcji nie powinni zasiadać sami ludzie piszący, co jest zresztą grzechem, bodaj wszystkich pism literackich w Polsce, istnieje bowiem wówczas niebezpieczeństwo upychania numeru własnymi pracami. Nawet kiedy się ma najlepszą wolę i najusilniej dąży do obiektywizmu. Podobno jednym z najlepszych redaktorów w Polsce był Mieczysław Grydzewski — redaktor „Wiadomości literackich", człowiek, który sam nie pisał i dlatego miał czas na myślenie o numerze i zajmowanie się koncepcją i organizacją materiału. Cisną się tu na pamięć słowa Cata-Mackiewicza z jego książki „Lata nadziei". Mackiewicz pisze tam m. innymi: „Dobry redaktor nie zawsze jest dobrym pisarzem, tak samo jak genialny reżyser może być kiepskim aktorem lub wcale nie być aktorem; a nawet lepiej jest, aby redaktor nie był pisarzem, a reżyser — aktorem: mają wtedy więcej autorytetu u tych, których musztrują". Po stokroć słuszny pogląd, chociaż sam Cat jest tu akurat przykładem nietypowym: będąc redaktorem „Słowa" pisywał w nim codziennie artykuł wstępny lub felieton.

Najbardziej cieszyło mnie, kiedy autorzy, piszący do „Odgłosów", pisali zwięźle i zrozumiale. Byłem, jestem i pozostanę entuzjastą prostoty w pisaniu. Sądzę, że największym zwycięstwem piszącego jest — napisać o trudnych sprawach jasno, a nie na odwrót. A smuciło najwięcej, gdy do redakcji przynoszono artykuły pełne niepohamowanego gadulstwa, napisane mętnie, z pozorami głębi i uczoności, bez wyrazu i niedowcipne. Młodym, zaczynającym pisać autorom, przypominałem słowa La Bruyere'a: „Jeśli chcesz napisać, że pada deszcz, najlepiej zrobisz, pisząc — pada deszcz". Oczywiście rzadko odnosiło to skutek, bo młody człowiek nie może zrozumieć tego, że pisać pięknie znaczy pisać prosto.

Pracę w „Odgłosach" wspominam dobrze. Nie miałem w tym czasie dramatycznych spięć konfliktowych, choć — naturalnie — nie obywało się bez sporów. Ale spory, wynikające z troski o poziom pisma, są solą pracy redakcyjnej. Jak to powiedział nieżyjący już, wybitny klasyk marksizmu? „Pełna zgoda panuje tylko na cmentarzu".

P. J. POKLEWSKA

KTO CZYTA NASZ TYGODNIK?

Ja czytuję „Odgłosy" od początku. Pierwsze numery pisma bardzo nas rozczarowały, próbowałam czytywać jednak pismo dalej. „Odgłosy" są coraz ciekawsze i niewątpliwie całość — w moim pojęciu — jest na coraz wyższym poziomie.

Co mnie w „Odgłosach" trochę razi? Brak pewnej równowagi między artykułami w pewnym sensie problemowym, a tymi — określanymi mianem drobiazgów, których zresztą jest coraz mniej. One są na bardzo różnym poziomie. (...)

Jeszcze jest jedna sprawa, o którą chciałabym zapytać — czy panowie redaktorzy orientują się, do których środowisk „Odgłosy" trafiają? Bo ja mam wrażenie, że ci, dla których są pisane artykuły, które określamy, jako „bardzo popularne" — że ci ludzie tych artykułów nie czytają. A nie czytają dlatego, że nie czytają „Odgłosów". W Łodzi większość mieszkańców jest raczej przyzwyczajona do codziennych pism, np. bardzo popularnego „Expressu" czy „Dziennika". Nie wiem, w jakim nakładzie wychodzą „Odgłosy". Spotykam się w środowisku inteligenckim z głosami, że „Odgłosów" nie warto czytać, bo są bardzo popularne i powierzchownie traktują problemy. (...)

P. K. WAGREN

KWESTIA ZAUFANIA

Pierwsze numery „Odgłosów" były „niespecjalne". Nawet żona po przeczytaniu powiedziała, że „lipa" i trzeba było wytaczać armaty małżeńskiego przekonywania, że pismo się poprawi. Dzisiaj z satysfakcją stwierdzam, że żona czyta „Odgłosy" i nad niektórymi problemami dyskutujemy, co mnie, jako łodzianina cieszy i chociaż pismo nie jest takie, jakie być powinno, obdarzam was zaufaniem i nie będę krytykował. Może przejawiam zbyt małą bojowość, ale wiecie, panowie, jak się łodzianin czuje, kiedy wyjedzie poza Łódź i słyszy, że Łódź jest brudna, że mało kulturalna! To boli łodzianina, a jeśli „Odgłosy" nie spełniają jeszcze wszystkich naszych oczekiwań i marzeń, to uważam, że musimy się zdobyć na cierpliwość i obdarzyć kredytem zaufania redakcję. (...)

ODBIJANY

(Dalszy ciąg ze str. 1)

sprofanowana intymność rozgrywa się na oczach tłumów. Filmy, fotografie, przemycane broszury.

Chłopak, którego nakłaniam do zwierzeń, powołuje się na „Playboya". Mówi:

— Stosunek jest formą towarzyskiej rozmowy.

— Jak to rozumiesz?

— Tak, że ludzie dobrze wychowani powinni rozmawiać z sobą przy każdej okazji.

— To znaczy, że twoja dziewczyna może rozmawiać z kim zechce?

— Nie trafia pan w tarczę! Ja nie mam stałej dziewczyny. Jestem na to zbyt elokwentny.

Nie wszyscy są tak cyniczni. Relacja pewnej koedukacyjnej grupki przyjaciół brzmi beznamiętnie: zabawę w gwiazdę uprawiali już w dziewiątej klasie; party pod tytułem „Róża wiatrów" zdążyło się przeżyć. Loteria fantowa, totolotek z butelką i tak zwany „Rozkaz szeryfa" również. Natomiast „Grę w lisa" zalicza się do najbardziej elitarnych.

— Mam trzy wielkie życiowe pasje — mówi osiemnastolatka o zniszczonej, bladej twarzy. — **Alkohol, papierosy i seks. Piguły mnie nie obchodzą. Nienawidzę pigularzy! Głupcy myślą, że można pogodzić jedno z drugim, ale w gruncie rzeczy piguły wykluczają się z seksem, który jest największym szczęściem ludzi.**

Pytam:

— Także ten w wydaniu zbiorowym?

Odpowiadają chórem:

— No, jasne!

Czy mam w odwodzie jakieś kontrargumenty? Procesy o ustalenie ojcostwa; nielegalne, dokonywane na małolatkach i kończące się śmiercią zabiegi; przeklinane porody i niepożądane dzieci?... Cztery uczennice, z których każda otrzymała na tym samym „zebraniu" prezent od Wenery?... Albo te trzy, które jednocześnie zaszły w ciążę i tylko dwom udało się poronić, natomiast trzecia, ze względu na stan zdrowia, zmuszona była zostać matką, przy czym jej rodzice, mimo wielu potencjalnych kandydatów, nie mogli znaleźć „winowajcy"?...

Nie sądzę, żeby to ich przekonało. Wierzą, że na wszystko jest sposób: trzeba się odpowiednio zabezpieczyć i starannie dobierać! Dziewiętnastoletni, wywodzący się z czcigodnej familii cwaniaczek, który w szkole uchodzi za skończonego kabotyna, w dyskusjach na tematy drażliwe prezentuje szeroką gamę swoich błyskotliwych wniosków:

— Piguły pigułami, niech będzie, że to się wzięło od hippiesów. Ale wóda i sprawy łóżkowe są przywilejem ludzi starszych. Wrzeszczy się — ta dzisiejsza młodzież! A przecież to oni wywołali rewolucję seksualną. Czytałem, jakie eksperymenty przeprowadza się na uniwersytetach amerykańskich i jak wyglądają porady lekarskie w Szwecji. Jeśli masz pięćdziesiąt lat i nudzisz się ze swoją żoną, to zaproś na wieczór trzy lub cztery zaprzyjaźnione małżeństwa, dzięki czemu wszyscy odzyskacie pogodę ducha, wzmocnicie na parę tygodni uczucia rodzinne i pozbędziecie się dręczących kompleksów. Jeśli nie wróciła na noc twoja żona, nie baw się w zazdrość, albowiem lada dzień może ściągnąć ci do domu interesujące towarzystwo. W Polsce też przykład poszedł od starych — tych, co w czasie służbowych wyjazdów podpatrzyli albo przeczytali to i owo na Zachodzie... Wiem nawet, jak to wygląda, bo nieraz w moim własnym mieszkaniu gaśnie na godzinkę światło w czasie przyjęcia.

I co mu powiem? Że bredzi? Kłamie? Kala honor świetlanego pokolenia?

Nie mam chęci na tanią moralistykę. Chcę wygrać tę batalię w uczciwym stylu, dopuszczając wszystkie „za" i „przeciw". Nie bądźmy naiwni — obyczaje, czy też brak obyczajów wśród młodzieży ma swoje głębsze przyczyny. Uczeni głoszą hiobową wieść o kryzysie tradycyjnie pojętej rodziny. W Danii jakiś poseł próbował przeforsować ustawę, która pozwalałaby zawierać grupowe małżeństwa. W bratniej Jugosławii, do której jeździ się przecież jak do Zgierza, kioski oblepione są półpornograficznymi pismami, gdzie można znaleźć nie tylko zachętę, ale i pełen instruktaż. Ktoś cholernie mądry powiedział, że zazdrość pomiędzy kochankami jest feudalnym, polegającym na kurczowym przywiązaniu do własności, przeżytkiem.

Młodzież nie jest ślepa i głucha. I wyciąga z tych naukowych dywagacji wygodne dla siebie wskazania. Lekarz, z którym rozważałem tę kwestię w czasie długich wieczornych godzin, i który z racji swoich obowiązków poznał ją w praktyce, prezentuje zimne, racjonalne poglądy:

— Gdyby chodziło tylko o seks, można by na to spojrzeć łagodniej. Jednakże pozbawiona konwencjonalnych rygorów wyzwolona miłość, prowadzi do skutków nieodwracalnych. Najpierw są silne wzruszenia, później zniechęcenie, oziębłość, brak wiary w prawdziwe uczucie. Taka psychiczna korozja, powodująca chroniczne depresje i trwałe osłabienie woli, jest wrogiem wszelkich związków, a więc ZAGRAŻA RODZINIE. Czy wolno nam to zagrożenie lekceważyć? Spekulacje uczonych nie zmienią faktu, że silne narody wspierały się zawsze o solidne, zdrowe moralnie rodziny, gdzie poszanowanie pewnych praw i tradycji było pierwszym obowiązkiem. W Polsce, na szczęście, rodziny takie stanowią zdecydowaną większość i nie sądzę, aby występujące tu i ówdzie tendencje mogły ten porządek zakłócić. Bo przecież w gruncie rzeczy każdy człowiek chce mieć coś swojego, świętego na WŁASNOŚĆ. Niektórzy nazywają to atawistyczną deformacją, a inni feudalnym przeżytkiem, lecz prosty rozsądek wskazuje, że dążność do zakładania i ochraniania rodzin jest najważniejszym i najbardziej zgodnym z naturą celem każdej jednostki; jest azylem, na którym zasadzają się wszystkie ludzkie pragnienia, i bez którego nasza egzystencja straciłaby wszelki sens.

Ten monolog trzeba wesprzeć reporterską ilustracją. Co mam wybrać z kilkudziesięciu skrzętnie zanotowanych i jakże podobnych do siebie przykładów?...

Stoi oto przede mną **piękna, dwudziestoparoletnia kobieta.** Zaciska ręce gestem ostatniej rozpaczy. Ma nieruchomą twarz, po której staczają się ciężkie, duże łzy. Mówi cicho, monotonnie, głosem szemrzącym jak woda:

— Byłam w drugim miesiącu i miałam męża, i kiedy poszliśmy na TAKIE przyjęcie, to nie mogłam dużo pić, ale ktoś przygasił światło, włączył muzykę i zaczęły się podchody. Z początku nie chciałam, ale mąż powiedział, że jestem zacofana, i że w TYM stanie nic mi nie grozi, więc się zgodziłam. Następnego dnia zrobił w domu straszną awanturę i bił mnie po twarzy, i przez tydzień się do mnie nie odzywał, ale później znowu poszliśmy na TAKIE przyjęcie i znowu mnie namówił, a nazajutrz prawie już na mnie nie krzyczał, taki jakiś był dziwny, osowiały, modliłam się, żeby zaczął mnie bić, ale zamiast tego znowu poszliśmy na przyjęcie, no, a w miesiąc później zażądał ode mnie zgody na rozwód i powiedział, żebym nie ważyła się rodzić, bo on tego dziecka nie chce i mógłby je tylko, tak jak mnie, nienawidzieć. I wyniósł się z domu, i chociaż od tej pory minął już cały rok...

Student:

— W akademikach dzieją się różne rzeczy. Miłość można przetargować w pół godziny. Najpierw piliśmy wino, póżniej dałem dziewczynie wolną rękę, jeszcze później znalazłem ją w toalecie z poderżniętymi żyłami. Wcale nie miałem do niej żalu i z miejsca chciałem się żenić, ale odeszła i teraz wiem, ile kosztują te igraszki.

Panienka z towarzystwa:

— Kiedy się obudził i wytrzeźwiał, dostał szoku. Próbował wyskoczyć oknem, więc musieliśmy szybko posprzątać mieszkanie, wypchnąć parę osób za drzwi i wydzwonić pogotowie.

Młody artysta:

— Chciałbym, żeby moje życie znowu było zwykłe, normalne, żebym mógł zapomnieć o tym, co plugawe, i żebym odzyskał wiarę w człowieka...

Reporter:

— Czy miałem prawo wdzierać się do alkowy? Ale, z drugiej strony, czyż nie mam obowiązku reagować na takie zjawiska? Sprawy, które wywlokłem na wierzch, nie są błahe, choć tyczą się, póki co, tylko pewnych, niewielkich kręgów. Zresztą może źle oceniam sytuację? Co myślą o tym czytelnicy?

Listy, które napłyną do redakcji, mogą pogłębić ten sondaż i stać się punktem wyjścia do szerszej, prasowej dyskusji.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Kosz na pomysły

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Są ludzie, którzy na dźwięk słowa **POMYSŁ**, nastroszają się nieufnie, węsząc kłopoty i nieprzyjemności. W opiniach wystawianych pracownikom bardzo chętnie pisze się **CZŁOWIEK Z INICJATYWĄ**, ale pod warunkiem, że ten człowiek z inicjatywą pójdzie sobie, gdzie indziej i kogo innego będzie uszczęśliwiał swoimi pomysłami. Pomysł i inicjatywa, niezbędne dla rozwoju każdej społeczności, w pewnych okolicznościach stają się jednak niepożądane. Ludzie, którym te pomysły i inicjatywy zawadzają, wynaleźli bowiem dziesiątki sposobów na ich utrącanie.

Nie mam zamiaru pomagać tym, którzy tak chętnie, w imię świętego spokoju i życia bez kłopotów, grzebią każdy pomysł i każdą inicjatywę. Jeśli więc zdecydowałem się na sprezentowanie kilku takich sposobów, to tylko dlatego, aby ludzi niespokojnego ducha, co to muszą myśleć i wymyślać różne pożyteczne rzeczy ku utrapieniu swoich zwierzchników, których zmuszają tym nie tylko do podejmowania decyzji, wartościowania, ale też i do odpowiedzialności za pomysłowość swoich podwładnych, przestrzec przed grożącym im niebezpieczeństwem.

Najpopularniejszą jest metoda na **odleżanie.**

— Mam pomysł — przychodzi taki niespokojny a myślący człowiek i referuje to, co wymyślił.

— Znakomicie — odpowiada zwierzchnik. — **Proszę to dokładnie opisać, zrobić szacunek, szkice, rozważyć różne warianty i dostarczyć mi za dwa tygodnie.**

Człowiek robi, co mu kazano. Zgłasza się w ustalonym terminie, dumny z wykonanej pracy, nad którą siedział po godzinach pracy zawodowej. A zwierzchnik bierze to wszystko i spokojnie chowa do najniższej szuflady w szafie pancernej. Niech się odleży.

Ta metoda ma jednak kilka wariantów. Jednym z nich jest **pozorna zgoda.** Zwierzchnik zgadza się na pomysł swego pracownika. Chwali go nawet publicznie.

— Patrzcie, jaki to z Kowalskiego jest Edison — mówi przy każdej okazji. A potem woła Kowalskiego i stwierdza z żalem, że pomysł był dobry, ale nadrzędna jednostka nie wyraziła zgody, on wprawdzie walczył jak lew, bez skutku jednak.

Inny wariant polega na **przerabianiu.** Projekt zostaje przyjęty, ale Kowalskiemu proponuje się szereg przeróbek, zresztą dla jego i jego pomysłu dobra. Kowalski poprawia i przerabia z zapałem i poświęceniem, aż pewnego dnia orientuje się, że projekt został tak dokładnie przerobiony, że nie tylko nie przypomina pierwotnego, ale w ogóle nie ma żadnego sensu. I sam rezygnuje, zbierając pochwały za swój rozsądek i pracowitość.

Jest też metoda utrącania inicjatywy, zawierająca się w stwierdzeniu o **wyprzedzaniu epoki.** Wszyscy wielcy wynalazcy byli „na bakier" ze swoją epoką. Sformułowanie takiej opinii o czyimkolwiek pomyśle powino mu sprawić niesłychaną satysfakcję, awansując go tym samym do grona ludzi genialnych. A któż z nas nie marzy o tym, aby być genialnym. Jeśli więc Kowalski przyjdzie z projektem, to będzie wysłuchany, ludzie do tego powołani projekt uważnie przestudiują, a później poproszą Kowalskiego, aby mu zakomunikować radosną opinię.

— To jest dobre, ale nie na czasie. Trzeba jeszcze z tym trochę poczekać.

Potem w prasie można sobie przeczytać, że akurat coś takiego samego wymyślił brat Czech lub sąsiad zza Odry i Nysy. Trafił widać na człowieka, który nie bał się kłopotów i nie zależało mu na spokojnym życiu. Miał szczęście, a my na pomysł, podobny do pomysłu Kowalskiego, kupimy licencję.

Najgroźniejsza jest metoda **komisyjna.** Jej wynalazcy wykazali iście szatańską pomysłowość i przebiegłość. Jest to bowiem metoda wielokierunkowa. Chroni autorytet tego, który daną inicjatywę chce utrącić. Nie on przecież wydał opinię negatywną i nie on decydował. Stworzył nawet pozór demokracji — wypowiedziało się przecież ciało kolegialne, składające się z grona specjalistów. A tych zawsze można dobrać tak, aby byli wśród nich antagoniści, którzy nigdy nie dojdą do jednomyślności. Komisja poza tym ma jeszcze i to do siebie, że zbiera się rzadko, obraduje długo, a wnioskodawcy zabawa może się znudzić. Pomysł i tak powędruje do kosza. Chyba, że wnioskodawca jest człowiekiem upartym, będzie tak długo kołatał gdzie tylko może, aż dobije się swego.

Chciałbym wszystkim potencjalnym inicjatorom i pomysłodawcom zwrócić uwagę na pewien drobiazg. Proszę tylko zważyć, **ile trzeba pomysłowości i energi, aby zniszczyć niejedną inicjatywę. To też powinno się liczyć w ogólnym rachunku, choć po stronie strat społecznych.** A przecież mimo to wiele cennych inicjatyw, pomysłów i projektów wchodzi w życie. Dlaczego?

Drwale znają metodę **klina.** Kiedy w szczególnie sękaty pień wbije się mały klin, to można go następnie wyjąć przy pomocy klina większego, rozłupując tym prostym sposobem zbyt uparty pień. Zastosowano ten sposób i na tych, którzy lubią spokojne życie i bardzo nie lubią ludzi z inicjatywą. Metoda klina ma też kilka wariantów. **Wariant pierwszy polega na wmówieniu zwierzchnikowi, że pomysł, który mu się podsuwa, on sam wymyślił.** Autor, dla dobra sprawy, rezygnuje z praw autorskich, a cała chwała spada na zwierzchnika. Czasem wystarczy znanemu z przekory zwierzchnikowi podsunąć **odwrotność** swego pomysłu. Zrobi on tak, jak chcecie i jeszcze was zgani.

— Gdybym tak posłuchał tego, coście mi Kowalski wmawiali, to wyszlibyśmy jak ten Zabłocki na mydle. A tak, widzicie...

Inny wariant tej samej metody polega na **konsultacji.** Trzeba zwierzchnika wciągnąć na listę autorów pomysłu. Dzięki tej metodzie światło dzienne ujrzało wiele pomysłów i usprawnień. Wiedzą o tym dobrze ci, których nazywamy racjonalizatorami. Postępują tak ludzie, którzy zrozumieli, że niektórzy zwierzchnicy bardzo nie lubią, kiedy mają podwładnych mądrzejszych od siebie. — **Patrzcie** — myśli sobie taki zwierzchnik — **ten Kowalski, zaledwie technik, a jakie pomysły chodzą mu po głowie. Nie mógłbym to ja wpaść na to?**

A kiedy Kowalski poprosi o konsultację, oblicze zwierzchnika promienieje, w sercu rozlewa się mu błogość, a w umyśle utrwala się przekonanie, że jednak do doskonałości to temu Kowalskiemu daleko.

A czy nie byłoby prościej, gdyby każdy mniej myślał o sobie, a więcej o interesie społecznym. Też pomysły chodzą mi po głowie?

ZIEMIA PRZY TORACH

(Dalszy ciąg ze str. 1)

w gospodarce i wciąż po urzędach jeździ! W przedziale jest Jarmusz, to powie, jak do niego trafić.

Kiedy wysiadałem na stacji w Glinniku, gdzie pod wielkim, szpiczastym dachem kołuje codzienna nuda, kasjerka robi na drutach, a dzieciaki rzucają kamieniami w zafajdany wychodek, podszedł Jarmusz, starszy, siwy kolejarz i powiedział:

— Pójdzie pan wzdłuż torów, tą ścieżką, co te ludzie i za tamtą zieloną budką będzie czerwony dom. Krzyżański tu znany, zwłaszcza jego ojciec, bo elektrykę założył w Czaplinku.

Zaskrzypiała stara furtka, z budy pod stodołą wyskoczył ze wściekłym jazgotem czarny pies. Mała sionka, przyciasna kuchnia. Młoda kobieta o ciemnych oczach i kasztanowych włosach śmieje się, gdy wyjawiam cel mojej wizyty.

— Ja pana już na przystanku widziałam — mówi — **mogliby śmy razem przyjść.**

— Pani jest żoną Jerzego Krzyżańskiego?

— Gdzie tam — wtrąca starsza, krępa kobieta o wyblakłych oczach — **to jego siostra, Barbara. Ona w gości przyjechała. Wszystkich, psiakrew, musze obszywać.**

— Nie trzeba się było uczyć szycia i kupować maszynę!

— Tak, tak! A nasz Jurek, to żaden bohater. Lepiej, żeby on po tych naradach nie jeździł, bo sama zostaję i ledwie poradzę z gospodarką.

— Taki już los matki — powiedziałem.

I palnąłem głupstwo.

Bo gospodyni nie była matką

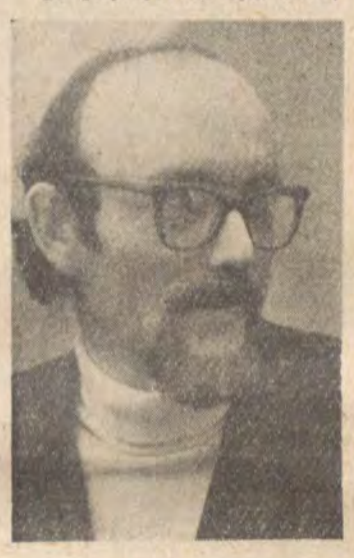

Krzyżańskiego, tylko jego ciotką, siostrą matki.

Ale o tej dziwnej sytuacji dowiedziałem się później, kiedy przyszedł ze szklarni Jurek Krzyżański. Młody, jasnowłosy, szczupły chłopak, o nieśmiałych, szarych oczach. Zaczął się pośpiesznie myć, czesać.

Wciągnął mnie do dużego pokoju, w którym miesza się nowe ze starymi: żyrandol i lampa naftowa, solidna komoda z wielkim tremem, obszerne łóżka z wysokimi zagłówkami, wielki ekran telewizora.

Usiedliśmy przy małym stoliku i zacząłem poznawać dzieje rodziny Krzyżańskich.

Kiedy Jurek zaczął opowiadać o bezrobotnym dziadku, który pracował dorywczo przy czyszczeniu kotłów i zginął porażony prądem w fabryce, a potem o pradziadku organiście i księdzu spod Kutna, co podczas mszy zaśpiewał „Boże coś Polskę", za co poszedł na Syberię, później na wygnanie, by umrzeć w Afryce, ciotka Janiszewska nie wytrzymała w kuchni.

— Co ty takie głupoty opowiadasz obcemu człowiekowi? — wybuchła. — **Ludzie przeczytają i będą się z nas śmiać. Ci z mojej rodziny może by nie mieli pretensji, gdyby powiedzieć o wujku Kazimierzu Dobrzyńskim.**

— Kim on był?

— No, on należał do tej dawnej partii, znaczy do PPS. W 1906 roku brał udział w strajku okupacyjnym u Poznańskiego i poszedł na zsyłkę.

— A o pani też można coś napisać?

— Co to, to nie!

Już wcześniej usłyszałam, że ta samotna kobieta poświęciła życie dla rodziny. Ojciec Jerzego jako maszynista, przejeżdżał często tędy, upatrzył sobie gospodarstwo i w 1939 roku kupił je od Niemca, bo o wojnie gadano i trzeba było gdzieś ulokować zaoszczędzone pieniądze. Podczas wojny i dwa lata po niej ziemia pozostawała w nienajlepszej dzierżawie, trzeba było nawet za dzierżawę płacić podatki, a potem na tych 7 ha osiadła ciotka Janiszewska, która zresztą miała swój udział w kupnie. Poprowadziła gospodarkę, żeby wszystkim lepiej się żyło w mieście.

— Ciocia powinna dostać za mnie ten krzyż — śmieje się Jerzy.

— Jaki krzyż? — pytam.

— Ano, w 1971 r. odznaczono mnie w powiecie. Dostałem Srebrny Krzyż Zasługi za wysokie osiągnięcia w rolnictwie. Jako najmłodszy rolnik...

Rodzice Jerzego są od urodzenia mieszczuchami. Ojciec pracował jako maszynista, potem jako dyspozytor ruchu, matka zaś jako urzędniczka w banku, a ostatnio w ZURiT. W wolnych chwilach i podczas urlopów dojeżdżali na swoje gospodarstwo w Czaplinku.

Dzieci przyszły na świat w mieście. Mieszkali na komornym w dwurodzinnym domku przy ul. Jeziornej na Radogoszczu. Chłopak wyrastał w klimacie przedmieścia, w pejzażu wąskich, cichych uliczek, gołębników i małych ogródków. W Łodzi skończył podstawówkę, Zasadniczą Szkołę Rzemiosł Budowlanych i rozpoczął pracę w Przedsiębiorstwie Instalacji Przemysłowych.

Ale podczas wakacji wyjeżdżał na wieś. Sięgał po kosę, grabił siano, pasł krowy... Podczas tych przyjazdów na urlop często zastanawiano się nad przyszłością. Proponowano. Sprzedać, podzielić się pieniędzmi i urządzić wygodnie w mieście.

— A o ciotce pomyśleliście? Gdzie ona pójdzie, co z nią będzie — wyrwał się Jerzy.

Przyjdzie też do miasta i z głowy. Tylko u kogo zamieszka? Właśnie...

— Nie, tak nie będzie. Ja osiądę na gospodarce!

Uboga jest ziemia przy torach. Z każdego obejścia szedł ktoś do przemysłu.

Młody Krzyżański został sam w domu na krańcu wsi. Widząc zmagania syna, ojciec zaczął pomagać, pożyczył pieniędzy. Dał konia i dwie krowy.

— Jak się dorobisz — rzekł — **to mi zapłacisz.**

Do dziś nie domaga się forsy. Widzi, ile syn musiał włożyć, aby podnieść produkcję.

Trzeba paru lat, żeby ziemia zaczęła obficiej owocować. Krzyżańskiego kłuło w oczy bogactwo badylarzy. Zaczął ich podglądać, w 1967 roku zapisał się do Technikum Ogrodniczego w Widzewie — Żdżarach. Zamierzał poprowadzić gospodarstwo trzema torami: małe ogrodnictwo, uprawy polowe i hodowla.

— No i zaczął się kierat mówi — **od którego mąciło się w głowie i piekły od niedośpiku oczy.**

Był bez grosza, wziął więc kredyt na 100 tys., za pożyczone od ojca pieniądze kupił spawarkę i rzucił się do roboty. Dwie szklarnie o wymiarach 30×9 i 30×4 oraz 120 inspektów zbudował sam, sposobem gospodarczym: kopał rowy, zalewał cementem fundamenty, spawał konstrukcję, szklił i malował.

Dwa lata ciężkiej, mozolnej pracy. Nieraz, umęczony, siadał przy tej swojej budowli i myślał: po cholerę ja się tak męczę, dla kogo?

Ziemia zaczynała się wypłacać wysokim plonem. Doszedł do 1000 kwintali buraków pastewnych z ha, koński ząb wyrósł na 2,5 m (z braku łąki musi zamieniać kawałki pola na użytki zielone); dwie krowy, dobrze wykarmione, dają po 4 tys. litrów mleka rocznie, w odchowie zawsze są trzy sztuki.

Gospodarka reprodukcyjna przyciągała sąsiadów. Młody, wiele pewnie nie umie, ale może pomóc. Brali więc od Krzyżańskiego najlepsze odmiany żyta (chrobre) oraz ziemniaki: uran delta, flisak, Lenino. Dlaczego tylko on ma zbierać z tych piasków po 300 q ziemniaków z ha, albo po 24 żyta i 30 owsa?...

Była praca, nauka, a w końcu, dwa lata temu, żeniaczka. Znali się od lat, ale teściowie trochę ociągali się z oddaniem córki na wieś. No bo Stryków to miasto, tutaj ogrodnik mógłby nieźle prosperować.

Skąd w tym drobnym, trochę nieśmiałym chłopaku tyle energii i samozaparcia. Pracując ciężko, ukończył technikum. Ale nie powiedział najważniejszego: o swojej pracy społecznej.

Przecież był wiele lat radnym i członkiem Komitetu Gromadzkiego PZPR. Dziś jest członkiem prezydium nowej gminy oraz sekretarzem rolnym Komitetu Gminnego, jak również członkiem komisji rolnej w KP PZPR.

Wybrano go delegatem na Konferencję Wojewódzką.

— Sąsiedzi przychodzą do domu. Żeby na przykład zaopiniować podanie o nabycie gruntów z PFZ. I takie drażliwe, ludzkie sprawy. Ot, panna z dwojgiem dzieci, ciężarna. Umarła. Została babka na kilku morgach. Trzeba było załatwić stałą pomoc finansową dla dzieci, udało się też wydębić alimenty od beztroskiego ojca.

Miasto blisko, łatwo się zaczepić w przemyśle. W Szczawinie jest tylko trzech takich jak on. Kilka lat temu rówieśnik, dobry rolnik, sprzedał ziemię i poszedł do „Boruty". Teraz pewnie by wrócił, ale nie ma do czego... Kiedy rozwiąże się jeszcze kilka problemów, ludzie zaczną się garnąć do wsi.

— Myślę — mówi — że gospodarstwo należy traktować jako warsztat pracy i zapewnić rolnikom renty. A poza tym — mechanizacja. Możemy sobie pozwolić na fabrykę samochodów, które w zasadzie będą służyć dla wygody, to dlaczego nie można rozszerzyć produkcji traktorów i maszyn towarzyszących. Kiedy rolnik będzie mógł je nabyć na dogodnych warunkach, wzrośnie produkcja, a ludzie będą lżej pracować.

Wychodzimy na podwórko. Wszędzie sporo jeszcze prowizorki. Ale on robił wszystko sam. Czuję, że to jest chwilowe, że wkrótce zniknie obraz tego obejścia. Krzyżański jakby czytał w moich myślach.

— Stodoła jeszcze postoi — mówi — **bo w pierwszym rzędzie muszę postawić kotłownię do ogrzewania szklarni. Później biorę się do budowy obory i domu. Potrzebne są pieniądze, które trzeba długo spłacać...**

Ale on tego dokona. Już osiągnął bardzo wiele. Pokazał, że można urodzić się w mieście, mieć 30 lat i być dobrym rolnikiem.

RYSZARD BINKOWSKI

13

Trzynastka, to jedna z liczb złych, a w każdym razie liczba, po której można się różnych, nie zawsze stosownych „numerów" spodziewać. Należy ona do rodziny liczb kabalistycznych i sam ten fakt wyjaśnia jeśli nie wszystko, to w każdym razie wiele. Ja tam osobiście do trzynastki żadnych awersji nie czuję (co innego z siódemką — z tą to rzeczywiście żadnych żartów nie ma), mieszkanie mam „pod trzynastką" i sobie chwalę, ale znam kilku Szwedów, którzy budując u nas hotel, czuli do niej niechęć tak wielką, że pominęli ją, przeskakując od razu z dwunastego na czternaste piętro. Kozaki dońskie spod Sztokholmu! Częstochowę, psiakrew, gwałtem brać chcieli, co po dziś dzień cały naród razem z Hoffmanem — majstrem w kompleksy i koszty wpędza, a głupiej trzynastki się pietrają! Zagłoba, gdyby był tego przytomny, niechybnie rzekłby — a trzynastka na was i na pchły wasze! Niemniej trzynastka lubi jednak płatać figle...

Pewien jegomość (na stanowisku) jeżdżący często w podróże służbowe do Poznania (handlowiec), tłumaczy mi przy każdej okazji spotkania, że powinni w tym mieście otworzyć przynajmniej jeden burdel, bo on zatrzymuje się w „Merkurym" (w pokoju 1-osobowym zawsze — 135 zł doba) i mu kurwy żyć nie dają. Nie, żeby go sobie specjalnie upatrzyły, albo żeby on miał specjalne inklinacje do tych rzeczy... Nie. Tylko kręcą się po całym hotelu, po kawiarni, restauracji i Piekielku i ciągle mu w oczy włażą, a jego to denerwuje, bo on ma słabe serce. A gdyby był burdel, chociaż taki jak „Merkury", to by siedziały w jednym miejscu i on, człowiek na stanowisku w delegacji służbowej nie byłby narażony i by się nie denerwował. Potem zwykle gawędzimy sobie (bo żyjemy w wielkiej zażyłości) o specyfice zawodu cór Koryntu, o lupanarach (które znakomicie znamy obaj z literatury), o podróżach służbowych i „współczesnych hotelach polskich klasy orbisowskiej", czyli o „niezawodnych machinach do maltretowania ludzi na delegacjach, turystów i innych gości". Na koniec mój rozmówca wyznaje mi (w dowód wielkiej sympatii) iż gdyby w Łodzi była odpowiednia liczba miejsc hotelowych oraz odpowiedni zespół sal wystawowych do eksponowania wyrobów przemysłowych, to jego zjednoczenie, a także i inne zjednoczenia nie wysyłałyby swoich pracowników do Poznania na imprezy handlowe, bo by te imprezy, giełdy i wystawy robiły na miejscu tu, w Łodzi właśnie, i że w Poznaniu, nie potrzeba by wcale budować wtedy burdelu, a zjednoczenia i odnośne instytucje zaoszczędziłyby mnóstwo pieniędzy i że ranga miasta na tym by zyskała, bo tu by się zjeżdżali ludzie z całej Polski oglądać wyroby przemysłowe i kupować je i że to wcale nie byłaby żadna konkurencja dla Targów, tylko duża oszczędność pieniędzy, czasu, ludzkiej pracy i dodatkowy prestiż... O ile znam życie, to prędzej w Poznaniu otworzą burdel, niż Łódź doczeka się „odpowiedniej bazy hotelowej i sal ekspozycyjnych dla wyrobów przemysłowych". Łódź nie lubi wystaw. Żadnych!

Poznań inaczej wygląda przed Targami, w czasie Targów, po Targach, a jeszcze inaczej na co dzień. Ten ostatni jest bodaj najciekawszy (w każdym razie dla mnie) — jest to wtedy takie miasto, jakiego drugiego w Polsce daremnie szukać. Miasto, które chce być bogate i nowoczesne, nie tracąc nic z uroku tego, co pozostawiły poprzednie pokolenia. To widać w Poznaniu na każdym kroku, to się czuje. Taka jest atmosfera tego miasta. Bowiem w tym mieście dba się także o kulturę. Wiedzą tam, że równie ważne jest „zaopatrzenie sklepów, co i zaopatrzenie duchowe" — że użyję tu takiego karkołomnego porównania. Poznaniacy mają opinię zapobiegliwych, skrzętnych, gospodarnych — te cechy nie szkodzą, jak się okazuje, kulturze i sztuce. Powiem więcej — one pomagają i to bardzo. Także ludziom tworzącym sztukę i kulturę. Dla ciekawości wszedłem kiedyś do sklepu przy Arsenale, gdzie plastycy poznańscy sprzedają swoje prace i drobne wyroby artystyczne. W porównaniu z nim łódzki sklep plastyków — to kramik... Zostawmy jednak sklepiki. W Poznaniu dzieją się imprezy poważne i znaczące. Są one odpowiednio rozreklamowane, dano im odpowiednią bazę materialną i kredyt moralny. Będą się działy nadal, bo trafiły na odpowiedni klimat. W Arsenale zorganizowano festiwal plakatu, grafiki i filmu Jana Lenicy na przykład. To była bomba! O tym „mówiło się" i w Krakowie i w Warszawie i we Wrocławiu. Wzięli się do tego ludzie znający się ha rzeczy, sprawni organizatorzy; powstają opracowania, które mają wszelkie szanse ukazania się drukiem. Niestety. Kultura i sztuka potrzebują pieniędzy, a poznaniacy, którzy ponoć są bez wyobraźni i polotu, wiedzą o tym.

Jest w Poznaniu enklawa bardzo dziwna — to teren Targów. Przypomina ona organizm, który cyklicznie eksploduje jak wulkan, a potem zamiera, zapada w stan letargu. Wtedy regeneruje się, odnawia, potężnieje. Po Targach atmosfera tego miejsca pachnie surrealizmem, niczym magazyn kostiumów pusty, po odegranej sztuce, gdy aktorzy już wyszli i publiczność opuściła widownię. Towary, z powodu których odbywał się cały spektakl — wywieziono. Pozostają resztki reklam, plansze informujące, fragmenty grafiki — to wszystko, co kilka dni temu służyło jakimś konkretnym celom, teraz trwa samo w sobie — porzucona dekoracja. Jest coś fascynującego w tym potargowym pejzażu — a na około tętni życie, organizm wielkiego miasta... Tu nazwy firm, pisane wielkimi literami, nie znaczą już nic. Są wyrwane z kontekstu przez usunięcie „przedmiotów". Rodzi się swoista poetyka „miejsca opuszczonego". Te momenty są trudno uchwytne, bo przecież w owej enklawie zamkniętej, wydzielonej, bez przerwy coś się dzieje. Organizm z letargu przygotowuje się do nowej feerii. Do następnych bachanalii. Współczesne wielkie targi to folklor dzisiejszej cywilizacji. To coś w rodzaju niegdysiejszych plebejskich spektakli jarmarcznych z wszystkimi możliwymi rekwizytami i wariantami. Inne tylko rekwizyty i inna oprawa. Ale to właśnie folklor drugiej połowy XX — wieku... Zresztą równie fascynujący.

Okazuje się, że w poznańskiej grze liczbowej „Koziołki" od początku jej istnienia najwięcej razy wylosowana została trzynastka — aż sto jeden razy padł ten numer figlarny. A są jednak ludzie, którym trzynastka przynosi szczęście...

Poza tym Poznań ma lotnisko, a Łódź lotniska nie ma. Mówiono kiedyś, że Łodzi lotnisko jest niepotrzebne, bo dokąd by się z Łodzi samolotem latało?... Do Honolulu!

ANDRZEJ GRUN

PS. Ja też, jak przyjeżdżam do Poznania, to zatrzymuję się w „Merkurym". Mnie tam kurwy w oczy nie kłują. Są to dziewczyny (w klasie orbisowskiej, oczywiście) bardzo ładne, bardzo eleganckie, znakomicie ubrane — a swoją drogą, to ciekawe, skąd się w tej profesji tyle dobrego gustu bierze. Przecież każda z „tych pań" mogłaby niejedną projektantkę odzieży nauczyć dobrego smaku i szyku (w ubiorze, oczywiście, choć nie tylko). Ponadto znają one obce języki (może nieco fragmentarycznie i jednostronnie — ale zawsze) a i w rodzimym można z nimi o tym i o owym porozmawiać. Znałem jedną (przelotnie, oczywiście), z którą nawet o poezji Przybosia dobrze się gawędziło. W wolnych chwilach chętnie chodzą do kina. Na przykład „Wołodyjowskiego" i „Popioły" obejrzała niemal każda, ale na „Anatomię miłości" chodzą bardzo niechętnie. A poza tym, kilka z „tych pań" widziałem na wernisażu samego Jana Lenicy w Arsenale. A więc i sztuki plastyczne są przez nie cenione...

A z tą trzynastką to sprawa jest jeszcze inna, ale o tym opowiem już innym razem. Co zaś się tyczy sal wystawowych w Łodzi i hoteli, to są one rzeczywiście niepotrzebne, bo jednak co „Merkury" to „Merkury"... Jeśli zaś idzie o lotnisko, to można by jeszcze latać z Łodzi do Bombaju.

A. G.

JERZY WILMAŃSKI

Nocne lektury

Najpierw artykuł Profesora
z datą bardzo wczorajszą
mówiący o Dziś

Potem parę dowcipów o Francu Fiszerze
(humor Warszawki w tańcu na kraterze)
Mützen ab w Oświęcimiu
(te cyfry na ręce to numer telefonu...)

Wspomnienia dyplomaty
(Hitler miał cerę różową, malinowe rumieńce
Churchill lubił alkohol
Beck był zatroskany gdy jechał przez Wiedeń...)

Wracam do Profesora
do Jesieni wracam do Zimy do Wiosny

Powroty w Pory Roku
w kawiarnie i baraki
za druty i drzwi obite skórą

Cała moja mądrość z mojego czytania
osypuje się w palcach kiedy noc przygasa.
W dzień słucham słów ciurkających na nudnych zebraniach.

moją mądrość posyłam od Sasa do Lasa.

KONRAD FREJDLICH

Nokturn

najjaśniejsze z pożądań

nocy gęstwina szczelna

żaden cień mimowolny nie wrazi się w pamięć
ciała pozbawione wymiarów ciepłem tylko
przejrzystsze niż bezkres maciejki za oknem

w taką noc astronom unieważnia
niewzruszalne prawa mechaniki nieba
każdy rok świetlny postarza nas o własny
i cofa w procesie ewolucji do etapu
gdy drobina białka staje się materią nieożywioną

najciemniejsze z pożądań

mroku gwałtowna jaskrawość

cienie poza pamięcią może jeszcze kamień
i ten prostopadłościan o krawędziach sypkich
co się zapadnie pod ciężarem kwiatów

JERZY WAWRZAK

„Wszyscy jesteśmy ludźmi"

Czym jest inny Kamieniec od setki podobnych miasteczek? Dlaczego nie mogę patrzeć na to miasteczko oczami turysty? Spacerować ulicami: zaciekawiony, znudzony, zmęczony wreszcie. Nie mogę być turystą, jak również jednym z nich, mieszkańców Kamieńca. Nie potrafię spokojnie patrzeć na to wszystko, co mnie otacza, ani przywdziać bezpieczną skórę tubylca.

Chodzę ulicami. W tym krajobrazie z fatamorgany. Za dużo tu bowiem zmian, miejsc nie przystających do pamięci, do obrazów wiernie zanotowanych dwadzieścia lat temu. Ta sprzeczność jest pokrzepiająca. Oni tu nie zmarnowali czasu. To miasteczko egzystujące kiedyś na kredyt u Pana Boga jest teraz czymś, co ma swój wewnętrzny sens i rację bytu. Chociaż straciło swój koloryt i niepowtarzalność. Ale nie to mnie smuci. Nie brałem udziału w tych przemianach, nie ma tu nawet mojej symbolicznej złotówki. Nie ma tu nic mojego, domu lub człowieka. Nie ma Joanny, chociaż muzeum, gdzie pracuje, jest prawie na odległość wyciągniętej ręki.

Czy muszę tam wejść? Czy tylko powinienem?

Z klatki schodowej przesącza się tu nikłe światło i po przejściu z rozsłonecznionej ulicy w tunel korytarza zacząłem utykać jak ślepiec. „Co za cholerna ciemnica" — powtarzałem w kółko, tracąc resztki cierpliwości, aż moja dłoń natrafiła na framugę drzwi, osunęła się na klamkę. Zastukałem w miarę stanowczo, w miarę dyskretnie, bo już minęło poprzednie zdecydowanie. Teraz odnosiłem nawet wrażenie, że pobłądziłem w tym starym, obszernym domu i chciałem się już wycofać bez niepokojenia kobiety, która miała prawo nie zapamiętać mojej twarzy. Nikt w dodatku nie odpowiedział na pukanie. Nacisnąłem jednak klamkę i pchnąłem drzwi ramieniem. Przekroczyłem ostrożnie próg nadal z tą pomroką w oczach, cierpnąc od skrzypienia dawno nie oliwionych zawiasów.

Odetchnąłem z ulgą i pewnym rozczarowaniem jednocześnie. Jedno spojrzenie wystarczało, żeby się upewnić, iż trafiłem we właściwe miejsce. Pod oknem stały dwa biurka. Przy jednym z nich siedziała kobieta w trudnym do określenia wieku. Pochylona, nie uniosła głowy, nie drgnęła nawet, chociaż było niemożliwe, by nie słyszała mego wejścia. Jej twarz nawet w tym ujęciu wydawała mi się znajoma, ale w tym momencie to wszystko wokół bardziej zaprzątnęło moją uwagę. Jak bym stał się jednym z tych, nielicznych zapewne, zwiedzających, a nie człowiekiem, który szukał tu własnej przeszłości. Tak, własnej przeszłości, bo Joanna była tylko jej bolesnym przypomnieniem.

„To ma być muzeum?" — wzbierała we mnie wesołość. Wnętrze rzeczywiście przypominało bardziej rekwizytornię teatru lub jakąś inną graciarnię, każde inne miejsce, niż zapowiadane przez szyld na frontonie budynku, dla kontrastu nowy, zwracający uwagę przechodniów połyskliwą czerwienią. Zatrzymałem się w pół kroku, w pół słowie, z zamiarem raczej czekania na rozwój wypadków, niż ich prowokowania. I znów opadły mnie wątpliwości.

Dlaczego zatrzymałem się w tym miasteczku? Nie wiedziałem tego ani dzisiaj przed wyjściem z hotelu, ani wczoraj po przyjeździe do Kamieńca. Czy tylko chciałem zobaczyć kobietę, która powinna być tu razem ze mną. Tutaj lub gdziekolwiek, lecz ze mną. Podobnie jak ja nie powinienem dwadzieścia lat temu tak beznamiętnie i łatwo uwolnić się ze wszystkiego, co przecież wtedy wydawało się najważniejsze.

O tym, że Joanna jest kustoszem kamienieckiego muzeum, dowiedziałem się z gazety. To tylko zrozumiałem jasno. Nic więcej nie dotarło do mnie z informacji o sensacyjnym odkryciu w tutejszej kolegiacie obrazu El Greca. Nie trzeba się znać na malarstwie, żeby dostać palpitacji serca, słysząc o takim wydarzeniu w rodzinnym mieście. Mnie jednak bardziej wytrąciła z równowagi wiadomość, że Joanna powróciła do Kamieńca, że wybór sprzed lat potwierdziła własnym życiem. Wybór, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi z zielonym wyobrażeniem o przyszłości. Dziećmi, których następny krok w świat ludzi dorosłych, dyktowały jakże odmienne okoliczności.

Ona, zaledwie osiemnastoletnia, zawsze wesoła i beztroska, dla której życie było zabawne i nieskomplikowane. Było życiem z dnia na dzień, bez kłopotów i problemów, których ja już doświadczyłem na własnej skórze. I ta moja obronna zapobiegliwość wzięła górę nad jej ówczesnym optymizmem, tak, że gdyby teraz ktoś spojrzał na mnie z boku, mógłby stwierdzić, nie bez racji, że to, czego może chcieć człowiek bez nadmiernych ambicji, udało mi się szczęśliwie dokonać. Ale przy tym nie opuszczała mnie bolesna świadomość, że boję się tej konfrontacji po latach, jak również spacerując ulicami Kamieńca, witając znajome miejsca, z obawą rozglądam się, by nie natknąć się na znajomych ludzi.

I ten zwariowany pomysł spotkania z Joanną. Po co? Wbrew sobie. Jak przez ciemność szedłem w kierunku muzeum. Z obawą, że zabłądzę w tym ciemnym, rozkojarzonym labiryncie. A przecież była to prosta, jak strzelił, rozsłoneczniona uliczka w dwuszeregu parterowych budynków o płaskich dachach. I był ten dom, który nawet nie miał swego miejsca w moich wspomnieniach — tam najwyżej, po przeczytaniu owej dziennikarskiej kaczki o malowidle El Greca, powinien pozostać. A nie stawać mi teraz w poprzek drogi.

Kobieta uniosła wreszcie głowę. Teraz zrozumiałem, skąd znałem jej twarz. Zeszłego roku widziałem w „Panoramie" fotoreportaż z muzeum figur woskowych madamé Tousand. Z dużego zbliżenia patrzyły na mnie teraz te same oczy. Nie pamiętam czyje, sufrażystki, gwiazdy filmowej, czy jakiejś koronowanej neurasteniczki? Nie ustępowało wrażenie spotkania z mumią, mimo, iż na jej czole czarne brewki podskoczyły jak dwie odwrócone literki „v".

„Mógłbym jej twarz narysować na maszynie do pisania" — uśmiechnąłem się, patrząc na jej usta: dwie poziome kreski.

— Myślałam, że to nasza kierowniczka... przepraszam — głos miała ciepły, głęboki, sprzeczny z ascetycznym wyrazem twarzy. „One wszystkie kiedyś takie będą" — pomyślałem o swej młodej żonie, czekającej niecierpliwie na mój powrót w hotelowym pokoju — wyparuje im z twarzy ciepło, oczy stracą blask, coraz bardziej będą pochylać się w sobie, aż do ostatecznego znieruchomienia".

— Właśnie jej szukam... — powiedziałem niepewnie, nie potrafiłem się skupić i zachowywać normalnie, jak zwykły interesant. Błysk świadomości był tak nagły i oślepiający, jak decyzja podjęcia się nowej roli, którą nie sposób było sobie wyobrazić. Zaraz jednak, na wszelki wypadek, by nie wzbudzić podejrzeń, zrobiłem powściągliwą minę i już swobodniej, uważniej zacząłem rozglądać się po tym dziwnym wnętrzu.

— W jakiej sprawie? — spytała, wydawać by się mogło, przyjaźnie, gdyby nie na pół przymknięte oczy, nieruchome, bez cienia zainteresowania. — Czy pan nie z gazety?

— Nie... w osobistej... Kiedy wróci?

— Nie wiem — zasznurowała szybko wargi, jakby to był błyskawiczny zamek, cieniutka, drobna żmijka, jakie kobiety noszą przy spódnicach.

— Ja się tak szybko nie zniechęcam, panienko — uśmiechnąłem się obłudnie i przysiadłem na szerokiej ławie stojącej pod ścianą. Powoli sięgnąłem do kieszeni po papierosy. Chciałem wytrącić kobietę z przyjętej roli, która, być może, stała się czymś więcej niż pozą. A może wyobrażeniem sposobu bycia? Nawet gdyby mnie chciała wyrzucić za drzwi w porywie gniewu, postanowiłem nie opuszczać tego miejsca.

— Nie jestem dla pana żadną...

— Wiem, wiem, kim dla pani nie jestem — przerwałem jej spokojnie.

„Kim mógłbym dla ciebie być, kobieto — pomyślałem z melancholią, ulgą, rozbawieniem, jednocześnie z wdzięcznością dla opatrzności, że nie muszę nic mówić, wyjaśniać, tylko myśleć: „Byłaby to typowa sytuacja bez wyjścia, siostro-bliźniaczko Joanny. Pani urzędniczko zza antycznego biurka, w okularach na nosie, wielkich jak koła od roweru. Zasuszona, bezdzietna, stara panno, ze skłonnościami do dewocji... Och, jakże mi cię żal i jak ci zazdroszczę. Czego? Choćby El Greca stworzonego w wyobraźni chorej od samotności, odczłowieczonej przez życie zamknięte w kręgu rekwizytów, symboli przeszłości, której i tak nic nie uratuje".

— Więc? — uniosła znowu brwi, bardziej zdziwiona niż zgorszona moim zachowaniem. Pewnie jej się zdawało, że szukam tu nie drugiego człowieka, lecz wczorajszego dnia. A ekstrawagancja, jakby była przynależna ludziom z wielkich miast, dziwakom z rudymi brodami, w czarnych okularach i białych golfach, których przypadek rzucił w te strony. A życiowa pozycja jakby zmuszała do podkreślania odrębności w każdym słowie i geście.

— To właściwie nieważne — znowu byłem daleki od zwierzeń i tłumaczenia się — ale na miejscu, gdzie stał jej dom jest teraz skwer. Nic dziwnego, bo naprawdę była to chałupina kryta słomą.

Nie zdążyła odpowiedzieć, nie miała właściwie czasu na chwilę namysłu, bo znowu zaskrzypiały drzwi. Przeszyło mnie na wylot to skrzypienie, tym bardziej, że nie słyszałem pukania ni kroków w korytarzu. W drzwiach stanął niewielki staruszek, białowłosy, w szwym ubraniu, cały jakiś popielaty, z twarzą tylko odcinającą się dziecięcą różowością. Zamrugał. Zamrugał oczami jak puchacz. Głos miał też trochę ptasi, chociaż z powodzeniem mógł przypominać pisk myszy przyciśniętej drzwiami.

— Przyszedłem według ogłoszenia — powiedział niepewnie.

Kobieta wyprostowała się za biurkiem, przypominała teraz napiętą sprężynę, która za chwilę na oślep wystrzeli w powietrze i uderzy.

— Jakiego znowu ogłoszenia? — powiedziała takim tonem, jakby za chwilę miała dostać spazmów — coś wam się, dziadku, pomieszało.

— Tu jest nasze muzeum, nie? Wisi tablica, tam... — zrobił jakiś nieokreślony gest.

— Czytać umiecie, to pewne — odpowiedziała prawie z uśmiechem.

— Przyniosłem swój krzyż, powstańczy — wyjąkał wreszcie cicho, z widocznym zażenowaniem. — Stało w gazecie, że kto ma... więc przyniosłem z dobrej woli, za darmo...

— Aaa — skinęła głową już z jakimś zrozumieniem — o to chodzi. Dobrze, chodźcie tu bliżej, wypiszę pokwitowanie. Dowód osobisty chyba macie? — spojrzała teraz w moją stronę, jakby speszonym i przepraszającym wzrokiem. — Ciągle nas tu ludzie nachodzą i zarzucają starociami, jak kierowniczka dała ogłoszenie do gazety. Kiedy z tym, co jest — spojrzała wymownie po sali — nie wiadomo co zrobić.

Odwróciłem głowę w stronę strzelistego okna, za którym, tuż naprzeciw, był ślepy mur z żółtawego wapienia, z resztkami osypującego się tynku. Z jakiejś szczeliny wyprysnął wróbel jak szara kula i przed samym oknem wykołował w górę, pod dach. Wszyscy razem obserwowaliśmy ten nieciekawy widok. Staruszek pierwszy ocknął się z tego znieruchomienia i pytająco spojrzał w moją stronę. Już nie mrużył oczu jak rozbudzony w środku dnia puchacz.

— Chwileczkę — powiedziała kobieta — pan był przecież pierwszy.

„Rany boskie — westchnąłem — na pewno zapomniała, o co ją pytałem".

— Adres domowy... wyjąkałem.

Podała. Z tym samym, nieobecnym spojrzeniem. Wstałem ze swego miejsca, staruszek zakwilił znowu po ptasiemu, cicho:

— To ja też pójdę.

„To sen — pomyślałem — za chwilę się obudzę, wyjdę z tego zaczarowanego kręgu niemożności. Pokonam strach, zrobię pierwszy krok, muszę wrócić do życia, jakie by ono nie było. Muszę się, do cholery jasnej, obudzić, odpędzić od siebie te wszystkie mary".

Nie zamknąłem za sobą drzwi, nie odwróciłem się, by powiedzieć „do widzenia". Długi klin światła wyprowadził mnie prosto do wyjścia. Zatrzymałem się dopiero w podwórzu, w pełnym słońcu, w bezwietrznym zaciszu.

— Przecież pan chciał — powiedziałem roztrzęsionym jeszcze głosem. — No, rozumiem... próbowałem sam sobie udzielić odpowiedzi.

Staruszek zachichotał, po swojemu, drobnym, cieniutkim głosikiem. Twarz mu pojaśniała w słońcu i od tego uśmiechu. Oparł się mocniej na lasce, poprawił płócienny kapelusz, beżowy z brązową lamówką. Nacisnął go bardziej na oczy, niebieskie, jak dwa koraliki, intensywnie jeszcze niebieskie, ciemne prawie w cieniu ronda.

— Takich mamy teraz urzędników, mój panie — pokiwał głową. — Wrócę tu, jak będzie kierowniczka. Znam ją, znam. To jest człowiek — stuknął laską i ruszył do nieodległej bramy w murze.

„Wszyscy jesteśmy ludźmi" — pomyślałem z tak wielką złością, że nie ominęła ona i tego starca. Cisnąłem o ziemię nie zapalonego, cały czas miętoszonego w palcach papierosa. Z rozmachem kopnąłem ułomek muru, leżący w przejściu. Kiedy podniosłem głowę, by krzyknąć za tamtym, wywrzeszczeć z siebie te słowa i gniew, w bramie już tylko kołysała się wahliwie furtka. Jakby ją poruszał wiatr.

„Wszyscy jesteśmy ludźmi, Joanno. Co się z nami stało?".

Fragment powieści pt. „WĘŻE GROTY", która ukaże się w br. nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

Kiedy piętnaście lat temu ukazał się w Łodzi pierwszy numer tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy" — nie wróżono mu zbyt długiej egzystencji. Ów pesymizm miał swoje historyczne uzasadnienie. Na przestrzeni prawie stuletniej historii łódzkiej prasy nie zdarzyło się, aby pismo o takim charakterze utrzymało się dłużej niż 2—3 lata. „Meteor", „Wymiary", „Osnowy Literackie", „Odnowa" z lat dwudziestych i trzydziestych, istniały zaledwie od kilku do kilkunastu miesięcy... Po wojnie „Kuźnica" i „Wieś" uciekły szybko do Warszawy w latach Wielkiego Exodusu końca lat czterdziestych. „Łódź Literacka" z połowy lat pięćdziesiątych zmarła po paru nieregularnie wydanych numerach „Kronika" wytrzymała niespełna trzy lata...

W ostatnim 61 numerze „Kroniki" z roku 1957, czytaliśmy: „Oddajemy do rąk czytelników ostatni numer „Kroniki". Stosunkowo niski nakład i wąski krąg odbiorców wyjaśniają motywy tej decyzji". Potem miała powstać „Nowa Kronika", ale nie powstała. Po paru miesiącach zaczęły się ukazywać „Odgłosy". Jesteśmy więc w prostej linii spadkobiercami tradycji „Łodzi Literackiej" i „Kroniki". Z tą wszakże poprawką, że pismo zaaklimatyzowało się, wrosło w łódzką glebę, przyjęło się. Bowiem piętnaście lat, to w naszych czasach wiek dla pisma podeszły.

Różne były „Odgłosy" na przestrzeni tych 15 lat. Przeglądając zżółkły rocznik 1958, wierzyć się nie chce, że to tylko 15 lat. Tyle się zmieniło, tylu ludzi odeszło — wielu na zawsze. Prezentując garść fragmentów z rocznika 1958, chcemy w jakiejś syntetycznej formie narysować obraz tamtych „Odgłosów". Pisma, które też już nie istnieje, bowiem gazeta to ludzie, którzy ją redagują i ludzie, którzy ją czytają. A nasze „Odgłosy" redagują już inni, i pewno inni ludzie je czytają. Ale, być może, coś nam zostało „z tych lat"? Dlatego gwoli przypomnienia prezentujemy kolumnę pisma które redagowali: WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, — redaktor naczelny, ZBIGNIEW CHYLIŃSKI, ZBIGNIEW NIENACKI, TADEUSZ PAPIER, JERZY WALEŃCZYK.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

CZY TO PIES, CZY TO BIES?

Poważniejsze dyskusje w prasie łódzkiej uważane są — jak widać — za ciężki kawałek chleba, skoro ich nie widać. Cudowna zgodność poglądów w naszych gazetach mogłaby sugerować, że jeśli nie brać pod uwagę takich spraw, jak skład drużyny ŁKS, nie ma się o co spierać. Z tym większą radością należy powitać, rachityczną co prawda, ale ważną dla nas, wymianę zdań na temat, czy Łódź jest miastem kulturalnym?

Z głosów, jakie dotąd padły w tej sprawie wynika, że Łódź jest na pewno bardzo kulturalnym ośrodkiem, albo z pewnością nim nie jest. Dyskutanci przypominają po trosze ludzi, którzy znaleźli przypadkowo nieznany sobie przedmiot. Jeden powiada, to jest coś białego, drugi: skądże, przecież to czarne, trzeci: białe, czwarty: nieprawda, czarne. I tak sobie skutecznie dyskutują.

(...) Powiada zwolennik białego koloru — co to znaczy miasto niekulturalne, jak to niekulturalne? Toć przecież pracują tu naukowcy dziewięciu wyższych uczelni, wydają mnóstwo prac naukowych! A dziesięć teatrów, w tym opera i znakomita operetka, a radio i przodująca telewizja, a balet Parnella rozchwytywany w Paryżu, a balet Harnama, który zawojował całe Włochy, a muszle koncertowe w parkach, jeden z niewątpliwych dowodów istnienia Wydziału Kultury, a Wydawnictwo Literackie, trzy gazety, jedno pismo na pewno bardzo satyryczne i drugie na pewno bardzo kulturalne? Słowem — kulturalny ogrójec z tej Łodzi.

Kilkunastu, kilkudziesięciu, a może jeszcze więcej uzdolnionych twórców opuściło Łódź w ostatnich latach. Fakt? Owszem, ale fakt, który sam przez się niczego jeszcze nie wyjaśnia. Wiadomo, czy Łódź jest lepsza, czy gorsza, czy kocha twórców, czy ich tępi — zawsze lepiej mieszkać w stolicy. Lepiej być w Warszawie łazikiem, niźli w Łodzi Słobodnikiem. To obiegowe powiedzonko, pomijając jego niezbyt fortunny akcent personalny, mówi jednak część prawdy. Wielu uciekinierów z Łodzi do Warszawy, powiedzmy nawet tępionych, ograniczanych, wcale nie ujawniło nadzwyczajnych talentów, wcale nie błyszczy na stołecznym parnasie. Dopiero teraz zginęli w tłoku, kibicują. Inna to rzecz — kibicują na szczeblu centralnym. (...)

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

LEGALNE SZYNKI I NIELEGALNE KLUBY

Kluczy do miasta szukałem na ulicach. Pytałem o nie przechodniów. Zajrzałem do kiosku z gazetami. „Proszę pani, czy tu są klucze do miasta?" Pani z kiosku spojrzała na mnie jak na wariata. Przechodził kolejarz. „Gdzie są klucze do miasta?" — zapytałem. Kolejarz obrzucił mnie pół zdziwionym, pół rozbawionym wzrokiem. Pani w kiosku ochłonęła. „Pan sobie życzy?...". „Kluczy do miasta szukam. Kluczy". „To niech pan idzie prosto, potem na lewo, znowu na lewo i znowu na lewo. Znajdzie pan". Zacząłem ją bawić.

Wstąpiłem do sklepu fotograficznego, w którym sprzedaje śliczna dziewczyna. Byłem w restauracji. Aha! Ze sklepu zachowałem spojrzenie i uśmiech dziewczyny. W „Krakusie" jest mowa o takich oczach. Miała je Syberyna. Okazało się, że koledzy redakcyjni byli już tutaj. Poszedłem więc do restauracji. Ale i tu ekipa redakcyjna już była. „Przy tamtym stoliku pili kryształówkę" — wyjaśnił kelner. Więc usiadłem i zacząłem porządkować wrażenia. Zwiedziłem dotychczas: kilka ulic, jedną kawiarnię, trzy restauracje. Nazwy tych szlachetnych, podtrzymujących ducha instytucji: Polonia, Myśliwska, Bar nad Ochnią. Piękne nazwy. Piękne instytucje. Można tu wypocząć po pracy. Porozmawiać. Wypić „jedną wódkę". Bo dokąd iść wieczorem? Kino jest jedno. A bary wciąż otwarte i gościnne. Tu, przy tym stoliku można się poczuć człowiekiem. Jak powiada Steinbeck: „Oto człowiek i ostateczna, jasna definicja człowieka: mięśnie spragnione pracy, umysł pragnący tworzyć ponad zwykłe, codzienne potrzeby...". Tu człowiek wyrasta ponad własne dzieło... „Jedna czysta, dwie czyste, cztery czyste...". Jeszcze raz to samo i śledzika. A potem głową w dół po schodkach, na chodnik, na ulicę! Kutno tańczy, każda dziewczyna jak ogień, a człowiek „wznosi się w górę po szczeblach swych koncepcji"! (...)

TADEUSZ PAPIER

MY BIEDNI, PROWINCJUSZE

Tak, stwierdziłem to już z całą pewnością. Cierpię na wrzód złośliwy, zwany kompleksem prowincji. Tumor, nowotwór nienasycony, rozrasta się we mnie i przerzuca z serca na wątrobę, z wątroby na krtań. Jestem prowincjuszem. Gorzej. Czuję się prowincjuszem. Gorzej. Wstydzę się tego, że jestem prowincjuszem. Pogardzam sobą. Pogardzam prowincjonalnym miastem, w którym przyszło mi żyć.

A oto przykład. Idę do teatru. Powiedzmy, do Nowego. Powiedzmy na „Dwóch paniczów z Werony". Spektakl mi się podoba. Jestem oczarowany, zauroczony, zaobłoczony. A potem nadchodzi czas refleksji. Ten spektakl jest dziełem łódzkiego reżysera i łódzkich aktorów. Znakomita scenografia jest dziełem łódzkiego scenografa. Więc czy to może być dobry spektakl? Czy mam prawo być zauroczony i zaobłoczony? Przecież w Warszawie... Tak, w Warszawie to się może nie spodobać. I tylko stołeczny teatr mógłby mnie zauroczyć. Wychodzę z teatru, oduroczony i szczerze wściekły. Moje myśli są myślami prowincjusza. Wszystkie powyżej zapisane zdania są zdaniami, które mógłby zapisać tylko prowincjusz. Jestem prowincjuszem. Nie ma ucieczki przed lawiną prowincjonalnych myśli. (...)

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

JAK SFRUWAJĄ „PIÓRKA"

Są tematy, które człowieka dręczą, które nosi się w sobie jak drzazgę trudną do wyjęcia i które można usunąć z siebie dopiero po wielu wysiłkach, nieraz po dokonaniu zabiegu operacyjnego na własnym sercu.

Są tematy dziwnie przekorne i dziwnie śliskie, które łapie się jak węgorze, są tematy, które łapie się jak raki, puszczając je z krzykiem, bo nie tylko nie dadzą się złapać, ale jeszcze same szczypią.

A jak wygląda sprawa z zadaniem sobie tematu i szybkim wykonaniem? Przecież wielu fraszkopisarzy pracuje w redakcjach i musi pisać w błyskawicznym tempie na żądany temat. Czyżby istotnie skazani oni byli na oczekiwanie natchnienia, co w praktyce byłoby zaprzepaszczeniem odpowiedniej chwili i równałoby się dezaktualizacji fraszki?

Ja sam w mojej praktyce przeżyłem fakt następujący: Pisałem kiedyś stale fraszki dla „Dziennika Poznańskiego" pod pseudonimem „Świerszcza" (zacząłem je pisywać w 1933). Owego dnia siedziałem pochylony za biurkiem i pisałem jakąś rozprawę o teatrze lalek, gdy nagle zadźwięczał telefon. Dzwonił ówczesny redaktor „Dziennika Poznańskiego" — niedawny ambasador Polski Ludowej w Waszyngtonie — a obecnie wiceminister spraw zagranicznych, Józef Winiewicz. Powiedział mi: „Karol Hubert Roztworowski wystąpił z PAL-u (Polskiej Akademii Literatury).

Wysłałem gońca, będzie za pół godziny, sądzę, że do tego czasu śpiewająco uporą się pan z fraszką na ten temat".

Przyznam się, że gorący pot wystąpił mi na czoło. Wprawdzie ówczesny kurator dr Jan Jakubiec, człowiek naprawdę wyższego umysłu i wyższej kultury, specjalnym pismem upoważnił mnie do pisania wierszy w czasie godzin biurowych, ale nigdy jeszcze nie zadawano takiego gwałtu mej muzie satyrycznej, nie żądano ode mnie, abym w określonej ilości minut i na określony temat się wypowiedział. Nie wiedziałem, czy moja muza, schwytana tak znienacka za włosy, nie okaże się kapryśna i nie odmówi mi swego pocałunku.

Usiadłem zgnębiony, zaopatrzywszy się w czystą kartkę papieru i pióro. Nagle przypomniałem sobie imię Roztworowskiego „Karol", do tego włączył się fragment piosenki Bałuckiego „czy ci nie żal"... kilka sekund i fraszka była gotowa:

Był PAL
I PAL diabli wzięli
Karolu, czy ci nie żal
Odchodzić od tych foteli?

Nim przyszedł goniec, fraszka znajdowała się w kopercie.

JAN SZTAUDYNGER

ROZMOWA Z REYMONTEM

Najdowcipniejszy niegdyś za mych lat młodocianych człowiek w całej Polsce — a może i nie tylko w Polsce — Franciszek Fiszer, o którym pamięć żyje dotychczas, wskrzeszana piórem i znakomitym zwłaszcza ołówkiem Zaruby — po stracie pokaźnego majątku swojego mieszkał przez jakiś czas u mnie. A dodam tu nawiasem, że nie był on krewnym znanego też wówczas w Warszawie księgarza, tak zwanego Lunia Fiszera, lecz wnukiem, czy bodaj już prawnukiem generała Fiszera z kościuszkowskich czasów.

Ten przeto, i przez Boya cytowany, Fiszer pewnego dnia — lub ściślej mówiąc pewnej nocy, bo dnie ów Franc przesypiał — powróciwszy z kolacji u Reymontów przyniósł jakąś świeżo wydaną książkę, tego wtedy nie tak jeszcze głośnego, jak później pisarza, na której mu autor wypisał taką oto szumną dedykację:

„Franciszkowi Fiszerowi, twórcy metafizyki polskiej".

Jaka to była książka, już dziś nie pamiętam; może powieść „Wampiry", bo wydaje mi się, że to właśnie w owych czasach powiadano, że jakąś powieść Reymont napisał był pod wpływem swych rozmów z Fiszerem.

Tę książkę czytał Fiszer nazajutrz — długo czytał — potem już niecierpliwie tylko przewracał kartki — wreszcie zniecierpliwiony odrzucił ją z niechęcią.

— Taak — zahuczał swym basem — to doskonały pisarz, tylko, że cóż, to przecież niebotyczny nieuk! (...).

W dobre lat kilka później, gdy już na emigracji byłem, wydalony po dłuższym więzieniu z Kongresówki, zetknąłem się przypadkiem z Reymontem w Zakopanem. (...).

My lewicowcy wówczas chodziliśmy jak struci po niefortunnych próbach pierwszej rewolucji; zdarzały się pomiędzy nami wtedy nawet przypadki samobójstw na tle zniechęcenia do życia i walki, nim znowu duch w nas wstąpił. Ja byłem tak młodzieńczy jeszcze, niedoświadczony, doktrynerstwa pełny... Znając więc prawicowe poglądy Reymonta, zacząłem mu tłumaczyć po lewicowemu podłoże tego, co się wydarzyło było w potwornym państwie cara, ostatni raz wówczas tryumfującego, i po chwili przeszedłem samą siłą rzeczy na Marksa, Engelsa i na ich teorię. W zapędzie jąłem w końcu nieomal agitować... (...). Skończywszy usłyszałem z ust jego:

— A wie pan, że to nawet wcale, wcale niegłupie...

KAZIMIERZ BŁESZYŃSKI

NA TROPIE TAJEMNICZEGO AŁBAZINA

W pierwszej połowie XVII wieku, gdy nad mętne wody Jeniseju przybyła rodzina polskiego zesłańca — Roman oraz syn jego, Nicefor — do dalekich wód „Czarnej Rzeki" docierali zaledwie pojedynczy śmiałkowie. Przedzierali się przez ogromne puszcze, ginęli od strzał dzikich tubylców. Porażała ich ogromna przestrzeń — tysiące kilometrów łańcuchów górskich. Ci, którzy wracali z wieloletnich wypraw, przynosili jednak opowieść o bogactwach, które widzieli nad „niezbrodzoną wodą", o grodach pełnych srebra i skór sobolich, o ziemiach żyznych, rodzących owoce i zboże, o kraju Daurów, gdzie władzę sprawuje książę Laukaj, a wody strumieni wymywają mu ze skał srebro i złoto. Żądza bogactw, chciwość, silniejsze potem okazywały się niż strach i świadomość trudów, które czekają na drodze do amurskiego „Eldorado". Coraz nowe tratwy zbijano nad rzekami, aby spłynąć nimi ku legendarnym krainom. W syberyjskich kronikach zapisywano nazwiska śmiałków. I pozostawała po nich tylko ta drobna notatka — ciała obskubywał sęp na przełęczach gór.

Dziś z Moskwy do Chabarowska nad brzegi Amuru jedzie się pospiesznym pociągiem 7 dni i 7 nocy. Samolot motorowy odbywa tę trasę w 36 godzin, a odrzutowy TU-104 w 12 godzin, choć leci na wysokości 9—12 tysięcy metrów z szybkością 800 km na godzinę. Między Moskwą i Chabarowskiem jest 7 godzin różnicy w czasie — po podróży długo jeszcze trudno ci się przyzwyczaić do nowych pór wschodu i zachodu słońca.

TU-104 — to „siedmiomilowe buty" Związku Radzieckiego. Po trzech godzinach lotu od Moskwy — samolot schodził do lądowania w Omsku. Po dalszych trzech godzinach zobaczyłem rozlewiska rzeki Angary. (...)

Chabarow odkrył i opisał te ziemie, ale Czernihowski zapuścił w niej korzenie. Nie tylko miecz Chabarowa, ale i pług Czernihowskiego zdobył dla Rosji okolice Amuru.

Tak zresztą oceniają te sprawy współcześni historycy rosyjscy. W ciekawej pracy Akademii Nauk ZSRR „Narody Syberii" (1956 r.) przeczytać można na stronie 123:

„...W rezultacie wypraw Jerofieja Chabarowa i Nicefora Czernihowskiego we władanie Rosyjskiego Państwa weszło Przyamurze i zbudowano dwudziesty sybirski gród — Ałbazin".

Teraz więc czekał mnie ostatni etap podróży. Do Ałbazina.

ZBIGNIEW NIENACKI

Uwaga, lichwa!

Znalazł się kiedyś pewien pan postulujący w którymś dzienniku otwarcie ni mniej ni więcej tylko... lombardów. Tak, prawdziwych lombardów z opasłym lub chudym jegomościem, urzędującym za podłużnym stołem. Niefortunnego projektanta oczywiście wykpiono. No bo jakże u nas raptem „takie rzeczy". „Rzeczy", nawiasem mówiąc, nie bardzo chwalebne.

A jednak...

LUDZIE Z INICJATYWĄ

Znaleźli się ludzie z inicjatywą, rozumiejący doskonale, że w 700-tysięcznym mieście zawsze znajdzie się ktoś potrzebujący na gwałt pieniędzy, a mogący się obejść na jakiś czas bez np. zegarka, czy obrączki. (...)

TRANSAKCJA ZA ZIELONYMI DRZWIAMI

— Przysłał mnie Władek. (Władek to często fikcja. Kioskarz — lichwiarz nie może znać wszystkich swoich klientów. W ten sposób jednak nabiera do petenta większego zaufania).

— O co chodzi?

— 200 złotych. Daję obrączkę. Pojutrze oddaję wszystko.

Po parominutowych oględzinach przedmiot wędruje do kieszeni kioskarza, a klient otrzymuje upragnione pieniądze. Wspomnieć należy, iż w kieszeni lichwiarza zostaje jeszcze coś więcej. Właściwie nic ważnego, ot zagryzmolony świstek papieru.

„Ja niżej podpisany A. B. pożyczyłem od pana C. D. 300 złotych, zostawiając złotą obrączkę. Jeżeli do dnia 28 bm. nie zwrócę pożyczonych pieniędzy, obrączka przechodzi na własność pana C. D.".

Następuje podpis i numer dowodu osobistego. Wszelkie pozory legalności zachowane. (...)

Ile obrączek, zegarków, przedmiotów srebrnych nie wraca nigdy do właścicieli? Nie wiadomo. W każdym bądź razie niemało.

Niebezpieczny proceder sowicie się opłaca. Lichwa trwa!

JERZY WILMAŃSKI

GRUN & MAKOWIECKI PRESENT: NOKAUT-STORY

Aferzyści odeszli i my teraz uzdrowimy sytuację w polskim boksie. Musimy wysoko wygrać ten mecz!...

Pierwszy aferzysta: — Jak przegramy, to stawiam pół basa.
Aferzysta drugi: — Przykro mi, panie szefie, ale chyba wygramy...

Dziewiątkę już mamy. Teraz trzeba tylko odnaleźć Grzelniaka. Idź, poszukaj go, Zeno!

Chłopak: — Grzelniak pije w „Rekordzie". Trza z nim grzecznie!

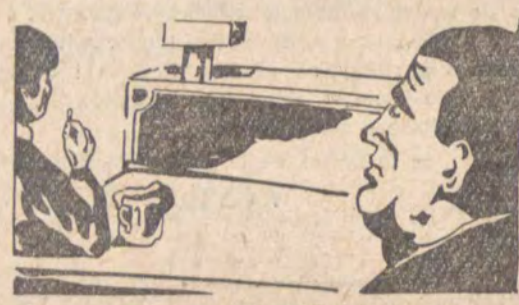

Zeno: — No Franuś, pójdziem trochę potrenować do sali.

Zeno: — W ryja nie bij! To efektowne, ale nic nie daje. Bij: serce, wątroba, serce, wątroba...

Zeno: — Moja szkoła. Już frajerowi tętno siada. Wygramy przed czasem!

Sędzia: — Raz, dwa, trzy, cztery!...

Zeno: Franuś, Franuś, poznajesz mnie?!
Grzelniak: — Tak, mamusiu.

Drugi aferzysta: — Niech skonam, zaczynamy dawać tyły na wyjeździe!

Zeno: — Odbijemy sobie w wagach ciężkich.

Marczyk: No, zaraz się frajerowi dobiorę do bebechów.

Zeno: — Ziutek, zrobisz to dla mnie? Wygrasz?
Marczak: — Wygram! Pan wie, panie trenerze, jak ja pana poważam i szanuję. Dla pana, to ja, wisz co, w życiu...

Reporter: — No, jak pan się czuje przed walką?
Marczak: — Chciałbym przede wszystkim pozdrowić matkę, ojca, szwagra i dozorcę..., a także samo...

Zeno: — Ziutek ma rutynę. Zaraz faceta wykończy.
Pierwszy trener: — Tak jest!

Zeno: — Może go poddać?
Pierwszy trener: — Eee, zaraz się otrząśnie.

Zeno: — Chyba jednak poddam zdechlaka.

Pierwszy trener: — Za późno żeś rzucił ręcznik, dostał kolanem w brzucho.

Reporter: — Co pan powie względem tej klęski?
Zeno: — Jakiej klęski? Nie ma żadnych strat w ludziach. Doktor melduje, że Grzelniak przecknął się przed chwilą, a Marczak też chyba wyżyje. My uzdrowimy sytuację w polskim boksie!

Pierwszy aferzysta: — My też byśmy chyba nie wygrali.
Drugi aferzysta: — No, ale zawsze byśmy kupili trochę zegarków i sweterków i chłopaki byłyby zadowolone.

Przedruk komiksu zapowiedziały już takie pisma jak „Sport", „Przegląd Sportowy", „Sportowiec", wszystkie gazety codzienne oraz tygodniki powiatowe: „Uśmiech sołtysa" i „Przewodnik po odpuście łowickim".

Wszelkie prawa zastrzeżone! Zrzynanie zabronione! Przekładów na obce języki autorzy sobie nie życzą!

Autorytety

Wyczytałam niedawno w gazetach, że bieżący rok ogłoszono „Rokiem sportu szkolnego". Ucieszyłam się, że wreszcie ktoś pomyślał o sportowym wychowaniu młodzieży, dojrzał luki i braki w tzw. sporcie szkolnym, zdenerwował się i postanowił przez ten rok zrobić rewolucję w tej dziedzinie i wyprowadzić kulturę fizyczną naszej dziatwy na szerokie wody. Ale nie. Rok 1973 ogłoszono rokiem sportu szkolnego tylko dlatego, że mija właśnie 20 lat od powstania Szkolnego Związku Sportowego. No i cześć, wszystko jasne, znów mamy kolejną rocznicę. A rocznice — jak powszechnie wiadomo — są u nas motorem postępu.

Wyczytałam dalej, że **„jedną z najciekawszych inicjatyw był pomysł wprowadzenia do szkół gimnastyki międzylekcyjnej i śródlekcyjnej"**. Sam pomysł jest na pewno znakomity i jego praktyczne wykonanie w wąskich przejściach między ławkami może być wizualnie atrakcyjne, ale sprawności fizycznej naszej młodzieży nie podniesie. Zresztą sami pomysłodawcy przyznają, że **„na razie praktyczne efekty są znikome"**.

Jakby się na to nie patrzyło, sport w szkole wymaga przede wszystkim tego, co brzydko nazywamy bazą. Więc dużych boisk, sal gimnastycznych, sprzętu, właściwych przyrządów i tak dalej, i tak dalej. A nie jest dla nikogo tajemnicą, że niewiele jeszcze mamy szkół należycie wyposażonych i przygotowanych do rozwoju sportu. Samą gimnastyką międzylekcyjną, śródlekcyjną i nawet lekcjami wychowania fizycznego nie postawi się sportu w szkole na właściwym poziomie.

Coś tam się jednak powoli zmienia, czego dowodem są Ogólnopolskie Igrzyska Szkolne. Do ostatnich — szóstych z kolei — przygotowywało się około 5 milionów dziewcząt i chłopców. Szkoda tylko, że jeśli chodzi o Łódź, to możemy poszczycić się jedynie sukcesem organizacyjnym. Łódź była obok Poznania jednym z gospodarzy ubiegłorocznych Igrzysk.

„Masowość gwarancją wysokiego poziomu" — to często powtarzane zdanie nie jest tylko ładnie brzmiącym sloganem. Przykład naszych sąsiadów — sportowców ZSRR i NRD, ich sukcesy międzynarodowe, mające swoje źródło w masowym sporcie także szkolnym — jest tego najlepszym dowodem. Tylko, że tam żaden młody talent się nie marnuje. Czy ci najlepsi z 5 milionów młodzieży znaleźli u nas właściwą opiekę?

I znów trzeba wrócić do nieszczęsnej bazy. Kluby nie są w stanie zaopiekować się większą ilością młodocianych zawodników. Jeśliby nawet były w stanie to zrobić, to i tak nie zastąpią szkoły w szerokiej popularyzacji sportu wśród młodzieży. Znaleźliśmy się w błędnym kole. Kluby nie mają bazy, szkoła nie ma bazy, a w dodatku nie zawsze ma nauczycieli wf z prawdziwego zdarzenia. Jacek Gmoch na łamach „Trybuny Ludu" twierdził swego czasu, że **„znajomość z piłką powinna zaczynać się w szkole"**, powołując się na przykład krajów, gdzie piłka nożna reprezentuje najwyższy poziom. W Anglii i NRF mecze szkolnych reprezentacji cieszą się nie mniejszym powodzeniem niż mecze ligowe czy nawet międzynarodowe. Geoff Hurst i Nobby Stiles — reprezentanci Anglii wywodzą się wprost z lig szkolnych. Ilu wśród polskich uczniów jest talentów na miarę Lubańskiego, Deyny, Szarmacha? — pyta Jacek Gmoch. I postuluje dalej, aby wrócić do tradycji organizowania szkolnych drużyn piłkarskich. Mam ochotę zapytać nieśmiało: kto w naszej szkole zajmie się prowadzeniem takiej drużyny? Pani od wf?

Opowiadał niedawno mój znajomy, że jego syn postanowił zmienić szkołę. Znajomy był zaskoczony decyzją syna. Zapytał o powód. Okazało się, że w ich szkole zajęcia z wf prowadzi Stanisław Biegański — trener „Społem", wychowawca Waldemara Stępnia. Dla chłopców pan Biegański jest nauczycielskim i sportowym autorytetem, a jego praca w szkole związała już niektórych uczniów z klubem. Ale „ich" nauczyciel chce zmienić szkołę.

Nie chcę twierdzić, że wszyscy trenerzy powinni iść uczyć do szkoły, bo byłoby to nieporozumienie. Jeżeli jednak sport ma spełniać wychowawczą rolę wśród młodzieży, to muszą się nim zajmować właśnie ludzie z autorytetem. Właśnie fachowcy. Wiadomo, że warunki do uprawiania sportu w szkole jeszcze nie prędko się poprawią. Może w takim razie drogą do podniesienia szkolnego sportu na wyższy poziom, drogą do zainteresowania nim większej ilości uczniów, do właściwej opieki nad sportowymi talentami jest bliższy kontakt ze szkołą ludzi ze sportowym autorytetem i kwalifikacjami.

Nie trzeba nawet zaglądać do metryk wielu naszych reprezentantów, żeby dojść do wniosku, że stoimy przed koniecznością odmłodzenia polskiego sportu. Warto przypomnieć, że w dorocznej ankiecie agencji Associated Press najlepszą sportsmenką świata w 1972 roku została Olga Korbut — młodziutka gimnastyczka radziecka, która na Olimpiadzie w Monachium zdobyła 3 złote medale. Aktualną mistrzynią Europy w łyżwiarstwie figurowym została Christine Errath 16-letnia reprezentantka NRD. U nas trzecie miejsce w krajowym łyżwiarstwie figurowym zajmuje 12-letnia Grażyna Dudkówna, która na treningi dojeżdża z Katowic do Janowa, a jej trener Z. Kaczmarczyk został uznany przez własny klub za złego szkoleniowca, między innymi, dlatego, że poświęca Grażynce więcej uwagi niż innym, przeciętnym zawodniczkom.

Myślę więc, że byłoby dobrze, gdyby rok 1973 — Rok sportu szkolnego — wykorzystano w taki sposób, aby w następnych latach można było powiedzieć, że był to również rok sukcesów sportu szkolnego. Czy to nie zbytni optymizm? A cóż nam innego pozostaje?

BOGDA MADEJ

FILM

TO NIE TO

Miał to być film ambitny, co w jego przypadku znaczyłoby — awangardowy. Ślady ambicji niewątpliwie w nim znajdujemy, rzecz ma się gorzej z awangardowością, bowiem jej dokonania współczesne nie znaczą dziś to, co znaczyły przed laty. I w tym sensie bardziej awangardowa wydawała mi się „Dziura w ziemi", poprzedni film Andrzeja Kondratiuka, niż „SKORPION, PANNA I ŁUCZNIK", film, który w założeniu autorskim miał ową awangardą być. Z jej ducha poczęte jest niewątpliwie, towarzyszące autorowi poczucie swobody organizacji tworzywa filmowego.

Kondratiuk uznał, słusznie zresztą, że w kinie nie ma rzeczy niemożliwych, że giętkość jego tworzywa pozwala tworzyć świat, w którym prawda i fikcja mogą istnieć obok siebie, w którym pejzaże, rzeczy i ludzie mogą znaczyć to, czym są i w innym układzie zyskiwać sensy zupełnie nowe, że symbol i metafora są oczywistymi wyznacznikami poetyckości kina, że znaczenia i ekspresję obrazów filmowych określa nie tylko organizacja przestrzeni, kompozycja i układ montażowy, że budują ją wszystkie inne tworzywa obrazom tym towarzyszące, a więc i słowo i muzyka. Jest to wiedza oczywista nie tylko dla ludzi w filmie pracujących, ale także dla tych, którzy efekty ich pracy na ekranie oglądać zamierzają. W praktyce każdej liczą się skutki wiedzy, umiejętne, twórcze jej wykorzystanie. Dlatego też nowy film Andrzeja Kondratiuka oceniać trzeba nie samą wiedzą i świadomością w nim zawartą, lecz jej artystycznymi efektami.

Wrażenie główne, które odbiorca filmu „Skorpion, Panna i Łucznik" wynieść z niego może, to dostrzegalna na pierwszy rzut oka, niemal dziecięca radość twórcy z tego, że dano mu do ręki tak cudowną materię i możliwości kreacji czystej. Ta forma służy jednakże zawsze opowiedzeniu jakiejś „historii". By fascynacji możliwościami kina stało się zadość, by znaleźć dla niej pełne urzeczywistnienie, sięga Kondratiuk po „historię" niezwykłą, samą w sobie uwikłaną w metafory i symbole. Ich nośnikami są już same osoby dramatu, potęguje je oczywiście układ konfliktu i sytuacje w które są uwikłane. Ich prażródłem jest Biblia, toteż szyfrem do filmu jest metaforyka i symbolika religijna. Dyskurs, który twórca w filmie swym prowadzi, odnosi się do prawd ewangelicznych, można się domyśleć, że ton tego dyskursu jest polemiczny. Pisze — domyśleć — ponieważ w filmie samym brak argumentów, które przemawiałyby siłą swego filozoficznego czy intelektualnego ładunku, brak im również artystycznej siły.

Kondratiuk, wybierając się do opowiedzenia tej „historii", wierzył, iż odbiorcy wychowanemu w kręgu kultury chrześcijańskiej postacie, sytuacje i obrazy - znaki będą znane i łatwe do rozszyfrowania. Wierzył słusznie, lecz zapomniał, że odbiorca pytać będzie również o ich funkcjonowanie, o sens nadrzędny, o cel ich przywołania. Niestety, na żadne z tych pytań odpowiedzi w „Skorpionie, Pannie i Łuczniku" znaleźć nie można. Powstała rzecz niejasna i pretensjonalna, opowieść, z której nic nie wynika — ani w sferze znaczeń metaforycznych, ani w sygnałach warstwy pewnego, istniejącego w filmie, realizmu obyczajowego.

Pozostaje pytanie o artystyczny efekt wspomnianej wyżej fascynacji filmowym tworzywem. Może w surowości ocen posuwam się zbyt daleko. Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że seans uczestnictwa w „Skorpionie, Pannie i Łuczniku" jest seansem pokazu artystycznego kiczu, którego jednym z głównych wyznaczników jest przecież wspomniana pretensjonalność. Ona to, od początku do końca, określa film Kondratiuka — zawarta w warstwie anegdotycznej, ujawnia się we wszystkich dokonaniach artystycznej konkretyzacji. Każe się nam widzieć poetyckość tam, gdzie króluje, niestety, grafomania. W liryce literackiej o nią szczególnie łatwo, w liryce filmowej, niestety, również.

W najnowszych dziejach kina nurt filmów poetyckich jest szczególnie wyrazisty i bogaty, jeśli wspomnimy tu tylko ostatnie dokonania kinematografii południowo - amerykańskiej, węgierskiej, jugosłowiańskiej czy radzieckiej. Ich poetyckość tworzy jednakowoż nie tylko piętrzenie przypadkowych symboli, metafor i skojarzeń, budowanych dla nich samych, wyrasta ona z głębokich tradycji kulturowych, ludowych, mitologicznych, znajduje w nich swój kontekst i wytłumaczenie, służy temu, co w każdym dziele nadrzędne — jego idei. Pustosłowie i pusta w końcu obrazowość, spotęgowana pretensjonalnością kreacji sprawia, że przy wszystkich, w ambicjach realizatorów założonych, „poetyckościach" omawiany film trzeba położyć na półce osobliwości artystycznej grafomanii. Z niezwykłym żalem piszę te słowa, ponieważ wierzę, że Andrzej Kondratiuk — autor „Dziury w ziemi" — należy do tych twórców naszego filmu, na których można liczyć. „Skorpiona, Pannę i Łucznika" traktuję jako pomyłkę, która pozwoli mu robić dobre filmy.

EWA NURCZYŃSKA

CALDER

Jest niewątpliwie jednym z najwybitniejszych artystów naszej epoki. Rzeźbiarz? Malarz? Niełatwa jest odpowiedź. Rysunek, rzeźba, przestrzenne kompozycje o barwnych ruchomych elementach, biżuteria, tkactwo artystyczne, zabawki, pełne wdzięku i humoru portrety z... drutu — wszystkim tym się zajmował. Ulubionym jego tworzywem jest metal — stalowe płyty i blaszki, druty, pręty. Na wskroś oryginalnym i niepowtarzalnym okazał się w wykonywaniu mobilów. Dziesiątki, jeśli nie setki, artystów próbowało go naśladować, ale nikomu jeszcze nie udało się z tym samym wdziękiem, lekkością i precyzją w wykonaniu, stworzyć podobne przestrzenne rzeźby z drutu i kolorowych, metalowych blaszek drgających, poruszających się i balansujących w powietrzu.

Ostatnia wystawa dzieł **Aleksandra Caldera** w Paryżu w galerii Maeght, wywołała, jak wywołuje od lat każda jego nowa wystawa, duże zainteresowanie.

Aleksander Calder urodził się w Filadelfii w 1898 r. (ma więc obecnie 75 lat). Jego dziadek był rzeźbiarzem amatorem, ojciec rzeźbiarzem, a matka malowała. Calder w 1919 r. zdobywa tytuł inżyniera-mechanika. W czasie I wojny światowej był w marynarce wojennej, po wojnie pływał na statkach handlowych. Później zostaje rysownikiem. Pracował m. in. dla jednego z amerykańskich pism. Pewnego razu dostał zamówienie na cykl rysunków ilustrujących cyrk. Jak się okazało, trafił na swój temat. Ruch, przestrzeń, światło, barwy, akrobaci balansujący na linie nad areną, tancerki w kolorowych kostiumach, klowni, egzotyczne zwierzęta — wszystko to zafascynowało go ogromnie. Odtąd cyrk pozostanie na długi czas głównym, ciągle żywym tematem jego twórczości. Nawet jeszcze wówczas gdy w 1926 r. przyjeżdża do Paryża. We Francji pozostanie już na stałe. W Paryżu początkowo robi zabawki na tematy cyrkowe używając jako tworzywa drutu, drewna, kłębków wełny i skrawków barwnych materiałów tekstylnych. Jego zabawki, prawdziwe dzieła sztuki, wystawione w 1927 r. w paryskim Salon de Humoristes, wzbudzają takie zainteresowanie, że fabrykanci kupują je jako wzory dla ich masowego wytwarzania.

W stolicy Francji Calder poznaje świat artystyczny, zaprzyjaźnia się m. in. z Mondrianem, Miro, Légerem.

Temat cyrku ciągle go interesuje. Pewnego razu sporządza małą makietę. Gdy zbudował widownię i arenę z wiszącymi nad nią trapezami zauważył, że trapezy poruszają się od byle podmuchu powietrza i stają się ruchomymi elementami. Tak narodziły się, słynne calderowskie mobile. Jego „Cyrkiem" pełnym ruchu i barw zachwycają się tacy artyści, jak: Cocteau, Léger, Le Corbusier, Mondrian, Miro, Seuphor, Man Ray, poeta Tzara, uczony tej miary co Einstein.

Początkowo Calder do swych przestrzennych kompozycji, dla nadania ruchu elementom, używa motorka. Wkrótce rezygnuje z tego.

— To ogłupiające — powiedział — **ciągle być zależnym od motoru i oliwy. Wiatr lepiej spełni te zadanie.**

Późniejsze mobile Caldera porusza już nie wiatr, lecz najlżejsze nawet drganie powietrza, które wprawia w ruch całą kompozycję, skomplikowany układ rozmieszczonych w przestrzeni kolorowych blaszek, osadzonych na cieniutkich drutach, a tak zbalansowanych, iż widz odnosi wrażenie ciągłej, zmiennej i oryginalnej gry elementów. Jeśli początkowo ten ruch jest jedynie poziomy lub pionowy, to w późniejszych mobilach Caldera odbywa on się w najrozmaitszych kierunkach, po różnych trasach — kolistych, półkolistych, spiralnych, zygzakowatych itp. To Marcel Duchamp owe kompozycje przestrzenno-ruchowe nazwie mobilami, zaś Arp nieruchome nazwie stabilami.

Nie do wszystkich jednak przemawia to zerwanie przez Caldera z tradycyjną rzeźbą. Oto Dali z przekąsem powiedział kiedyś, że od rzeźby można wymagać przynajmniej tego, żeby była nieruchoma. Calder dał na to ciętą odpowiedź:

— Salvadore Dali rozpoczął swą karierę od malarstwa poważnego, a teraz ze sztuki urządza cyrk. Jeśli o mnie chodzi, stało się odwrotnie.

Obok mobilów, nieraz bardzo kunsztownie i pomysłowo skonstruowanych, kolorowych, przy czym Calder stosuje, obok czarno-białego tła, trzy podstawowe barwy — czerwoną, niebieską i żółtą, jest on twórcą stabilów, rzeźb jak sama nazwa wskazuje nieruchomych, o wielkiej ekspresji, czasem olbrzymich, najczęściej ze stali. Potężny stabil został ustawiony w 1962 r. w Spoleto. Rzeźba, jak pomost, przerzucona jest nad szeroką ulicą, ma 17 m wysokości, a tak jest ukształtowana, że przejeżdża przez nią autobus. Na wystawie w Montrealu w 1967 r. jeden z placów został ozdobiony abstrakcyjną rzeźbą Caldera zatytułowaną **„Człowiek"**. Dzieło to ma ponad 22 metry wysokości i 28 m szerokości. Waży 60 ton. Mimo swej ogromnej wagi sprawia wrażenie lekkości i strzelistości. Na olimpiadę jaka się odbyła w 1968 r. w Meksyku Calder stworzył rzeźbę jeszcze wyższą, bo o wysokości 24 metrów — trzy płyty z grubej blachy stalowej wspierające symboliczny wizerunek słońca.

Artysta sporządza tylko modele rzeźb. Reszta należy do zakładów metalurgicznych, gdzie następuje wytapianie, nitowanie czy spawanie poszczególnych elementów już w wielkich rozmiarach. Podobnie tworząc swe mobile Calder sporządza najpierw małe modele, wycinając płytki z lekkiego aluminium i eksperymentuje z nimi.

Zdumiewająca jest precyzja wykonania zarówno mobilów, w których znać nie tylko rękę artysty, ale i inżyniera-mechanika, jak i prac z drutu (np. żartobliwe portrety Légera czy Józefiny Baker). Pewnego razu Léger patrząc na Caldera, człowieka o sylwetce polarnego niedźwiedzia i dłoniach kowala, wyraził zdziwienie, że takimi rękami artysta może tworzyć bardzo precyzyjne dzieła.

Calder nie lubi mówić o swej sztuce. Gdy ktoś zaczyna z nim rozmowę na temat teoretycznych założeń jego twórczości, artysta staje się niecierpliwy, coś tam mruczy, a wreszcie zasypia. Podobno budzi się jednak natychmiast na odgłos wyciągania korka z butelki.

Kim jest Aleksander Calder? Rzeźbiarzem? Malarzem? Nie wiem — odpowiada recenzent w jednym z ostatnich numerów paryskiego tygodnika „Les Nouvelles Littéraires". „Można by na ten temat dyskutować. Ale to, że jest on poetą, nie budzi żadnych wątpliwości".

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZEŹŁOŚĆ teraźniejszość

ROCZNICA

Przypominanie sobie różnych rocznic zaspokaja nasze własne zapotrzebowanie na historyczny ogląd teraźniejszości, bowiem odnosimy się do przeszłości nie w innym celu, jak aby lepiej zrozumieć świat współczesny. Z drugiej jednak strony spoglądanie w przeszłość jedynie przez pryzmat uroczyście fetowanych ileś — tam — leci zawiera w sobie poważne niebezpieczeństwo, polegające na czymś, co nazwano już jubileuszowym oglądem dziejów, a który nieuchronnie znacznie odbiega od tego, co ma o nich do powiedzenia rzetelna nauka historyczna. Piszę ten felieton nie bez odrobiny złośliwości, zadaję sobie bowiem pytanie, czy w powodzi jubileuszowo-rocznicowych uroczystości, których mamy dziś tak wiele na każdym kroku, czy w owym całym „historycznym" ferworze, nie zapomnimy, czcząc wydarzenia nie zawsze największej wagi, o fakcie, którego okrągła dziewięćdziesiąta rocznica przypada dnia 14 marca bieżącego roku, o wydarzeniu, które choć samo w sobie mało spektakularne, wycisnęło swoje przemożne piętno na naszej współczesności. Mam na myśli rocznicę śmierci twórcy naukowego socjalizmu — Karola Marksa.

„Dnia 14 marca o godzinie 3-ciej po południu zmarł

KAROL MARKS

twórca naukowego socjalizmu — autor „KAPITAŁU", jeden z najgorętszych obrońców sprawy proletariatu — współzałożyciel i kierownik Internacjonału". „W Karolu Marksie straciliśmy męża, co swym potężnym umysłem i pracą wytrwałości żelaznej wykuł dla klas pracujących niezwalczony oręż na jej wrogów. Jemuśmy to obowiązani niezłomną wiarę w nasze zwycięstwo".

Tak pisał o śmierci Marksa „Przedświt" w numerze 14 z 22 marca 1883 r. Zachował się też inny dokument, powstały w następnym roku. Jest nim krótki telegram, wysłany z Genewy do Londynu na ręce Fryderyka Engelsa w pierwszą rocznicę zgonu K. Marksa, podpisany przez Stefana Leonowicza (pod tym nazwiskiem kryła się Maria Jankowska), w którym Komitet Proletariatu w Warszawie łączył się w uczuciach żałoby z socjalistycznymi delegatami, którzy zebrali się w Londynie dla uczczenia pamięci „wielkiego bojownika o uwolnienie robotników".

O związkach K. Marksa z Polską i Polakami, o jego stanowisku wobec sprawy polskiej w XIX w., oddziaływaniu na pierwszych polskich socjalistów, napisano nie tylko w ostatnich latach bardzo wiele. Nie oznacza to jednak, byśmy wiedzieli już dziś o tych sprawach wszystko, co można by wiedzieć, zwłaszcza co się tyczy znajomości dzieł wielkiego myśliciela i działacza w Polsce, która przecież nie ograniczała się tylko do przedstawicieli lewicy społecznej. Jest niezmiernie charakterystyczne, że przedstawiciele burżuazyjnych nauk społecznych w Polsce, podobnie jak w innych krajach, stosunkowo szybko dostrzegli znaczenie teoretycznego dorobku myśliciela i praktyczne konsekwencje jego poglądów. Nie było bowiem przypadkiem, że liberalno-burżuazyjny polski publicysta w swym wspomnieniu pośmiertnym o K. Marksie, ogłoszonym na łamach „Prawdy" stwierdzał:

„Rok 1867 był dla socjalizmu erą, był datą, w której ukazała się jego ewangelia, pierwszy tom słynnego dzieła „Das Kapital", którego autor stał się od razu papieżem dla socjalistycznego wyznania. Dzieło to, przetłumaczone na kilka języków, między innymi na rosyjski, dostarczyło olbrzymiej pobudki ruchowi, sformowało jego hasła i zasady, zawisło jak miecz Damoklesa nad głową całego ucywilizowanego świata".

Jest jasne, że ten „ucywilizowany świat", to dla autora najlepszy ze światów, świat kapitału, podobnie jak nie ulega wątpliwości, iż autor przytoczonych słów nie należał do entuzjastów K. Marksa. Ale przecież dostrzegł to, co jednocześnie dostrzegali również pierwsi polscy socjaliści, mianowicie ścisły związek marksowskiej naukowej teorii z praktyką społeczną. W socjalistycznym „Przedświcie" czytamy w związku z tym:

„Ale nie jedynie genialnego szermierza nauki tracimy w zmarłym, był on zarazem niemniej znakomitym, niemniej potężnym wodzem na polu walki codziennej proletariatu. Organizacja sił rewolucyjnych zawdzięcza mu równie wiele, jak socjalizm teoretyczny. Marks należał do rzędu tych rzadkich postaci historycznych, co w dziwną harmonię połączyć umieją pracę myśliciela z działaniem praktycznym".

LEKTOR

Zdarzeni A · I · Zwierzeni A

NASZE KSIĄŻKI

Próbowałem policzyć „odgłosowe" książki i dać w tym jubileuszowym felietonie pełny katalog. Rzecz się jednak okazała niewykonalna. Po prostu nie mogłem ustalić kryteriów. Oczywiście całkowicie zrodzone z łamów gazety są zbiory felietonów Bernarda Sztajnerta „Bez strachu", Włodzimierza Krzemińskiego „Lewym okiem". Są to po prostu zbiory tekstów, drukowanych wyłącznie w „Odgłosach" na zamówienie „Odgłosów", tekstów, które bez gazety nie powstałyby. Podobnie jest z książką „Rzeczy dziwne i ciekawe", która wyrosła z „odgłosowej" rubryki „Od niedzieli do niedzieli" Jerzego Widoka, starszego brata piszącego te słowa. Tu jeszcze owe kryterium redakcyjnej inspiracji pasuje, choć parę tekstów ukazało się gdzie indziej.

Do tego rygorystycznego kryterium nieco mniej pasuje książka Karola Badziaka „Z życia wyjęte", bowiem są w niej teksty pisane dla innych gazet. Ale przecież to także „odgłosowa" książka.

I na tym koniec? Przy tych rygorach — tak, lecz przecież „Odgłosy" zrodziły, zainspirowały, lub po prostu „matkowały" tylu innym książkom. I to także są „odgłosowe" książki.

Z cyklu reportaży Zbigniewa Nienackiego „Na tropach tajemniczego Albazina" zrodziła się książka „Pozwolenie na przywóz lwa". W „Odgłosach" drukował też w odcinkach „Worek Judaszów" — głośną swego czasu powieść, która w „Czytelniku" miała dwa wydania. Tu szła inna powieść Nienackiego „Zabójstwo Herakliusza Pronobisa", całkowicie „odgłosowa", bowiem, o ile mnie pamięć nie myli, nie miała wydania książkowego. Pozostała tylko na łamach gazety. Wiesław Jażdżyński tu drukował swoją powieść „Okolica starszego kolegi", tu szła bulwersująca całe miasto „Magdalena" Tadeusza Papiera... Szedł w odcinkach „Romans królewski" Władysława Rymkiewicza...

Policzmy — to już dziesięć książek. Dziesięć książek zrodzonych w orbicie działania pisma. Byłoby idealnie, gdyby się można doliczyć piętnastu książek na piętnastolecie. I chyba można się doliczyć. Z „Aspazji" Andrzeja Ostoi „Odgłosy" zrobiły komiks — i myślę, że skrót ten wyszedł powieści na dobre. Z kilkudziesięciu reportaży Frejdlicha i Makowieckiego, pisanych dla „Odgłosów" i w „Odgłosach" drukowanych, powstał tom reporterski „Miraże i złoto", wydany przez CRZZ. Także „Przepis na wymianę twarzy" — książka Andrzeja Makowieckiego powstała niejako na tych łamach.

Natomiast najbardziej może naszą książką jest „Ucieczka przedmieścia" — tom reportaży z konkursu pisma wiosną 1960 roku, czyli 13 lat temu. W konkursie wzięło udział ponad czterdziestu reporterów z całego kraju, a jacy to byli reporterzy, niech wystarczą nazwiska: Jerzy Ambroziewicz, Bohdan Drozdowski, Stefan Kozicki, Józef Lenart, Wojciech Giełżyński, Jerzy Urban, Aleksander Rowiński, Janusz Roszko... Zrodzona z inicjatywy pisma książka dokumentuje Łódź, jej problemy i przemiany w piętnastym roku Polski Ludowej. Choć nakład miała niewielki i dziś jest już raczej zapomniana, wnosi przecież swój wkład do pisanej historii tego miasta — jest dalszym ciągiem, żywą kontynuacją flattowego „opisania Łodzi".

Policzmy — to już czternaście książek. I myślę, że grzebiąc w starych rocznikach pisma, można się jeszcze bez trudu dogrzebać tej jednej brakującej do jubileuszowej liczby. Ale przecież nie o to chodzi — nie o ładne zamknięcie felietonu mi idzie...

Różne były wzloty pisma i różne upadki, różna ranga tych książek — od filozoficznych przypowieści do banalnych „kryminałków". Rzecz jednak w czym innym. Różne bowiem było to pismo na przestrzeni owych piętnastu lat, ale pozostawia po sobie kilkanaście przynajmniej książek, o których z całą pewnością można powiedzieć, że dokumentując swój czas, powstały dzięki „Odgłosom". To naprawdę bardzo wiele. Uczenie nazywa się to czynnikiem kulturotwórczym. Nawet rower, sprawiony pewnemu młodemu pisarzowi przez „Odgłosy", był czynnikiem kulturotwórczym. Pisarz miał tym rowerem pojechać „w Polskę", aby napisać cykl siermiężnych reportaży. Reportaży nie napisał, rower sprzedał gdzieś pod Olsztynem, ale dzięki tej przygodzie powstała książka — może dziś dyskusyjna, ale chyba dobra, a na pewno bardzo głośna (sześć wydań i film).

Nasze książki, książki „odgłosowe" trafiły na półki bibliotek i na regały czytelników. I choć to malutki i uboczny efekt działania pisma, mówią one wyraźnie, że przez owe piętnaście lat ukazywała się w Łodzi nienajgorsza chyba gazeta.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

LEWYM OKIEM!

WSKAŹNIKIEM GO!

Jednym z mnóstwa wskaźników, według których analizuje się prawidłowość działalności przedsiębiorstwa przemysłowego i całej branży, jest stosunek liczby pracowników produkcyjnych do pracowników administracyjnych. Proporcja ta jest różna w różnych branżach, na ogół można powiedzieć, że liczba administratorów jest tym większa, im gałąź wytwórczości bardziej skomplikowana, precyzyjna, nowoczesna. W miarę unowocześniania przemysłu będzie więc rosnąć liczba pracowników zarządzania w stosunku do liczby pracowników produkcyjnych i jest to proces nieodwracalny.

Mimo to jednak oczywiwistym jest dążenie do hamowania procesu nadmiernego rozrastania się grupy nieproduktywnej, do ograniczania biurokracji. A ponieważ biurokrację na dolnych szczeblach zarządzania są w stanie ograniczać tylko biurokraci z wyższych szczebli, więc czynią to w sposób im właściwy, czyli biurokratyczny: drogą wydawania zarządzeń, zatwierdzania schematów i limitów. Tym z dołu pozostaje już tylko zręczne wymijanie owych limitów, a sprawa sama się ułoży.

Jedno zarządzenie resortu nakaże na przykład zjednoczeniu podjąć takie i owakie czynności, rozszerzyć zakres działania podmiotowy (więcej przedsiębiorstw podporządkowanych zjednoczeniu) i przedmiotowy (zwiększona i bardziej zróżnicowana produkcja, zwiększona liczba kooperantów, szczegółowszy nadzór, nowe dziedziny działania). Drugie zarządzenie poleci jednocześnie ograniczyć ilość etatów w zjednoczeniu i w przedsiębiorstwach, bo uznano, że procent zaczął się wychylać od jakiejś tam średniej z przeciętnych i wykazuje niewłaściwą dynamikę.

Jednocześnie „stanęła" sprawa wzmocnienia zaplecza naukowo - badawczo - rozwojowego. Przepraszam za niewdzięczne słownictwo, znamy przecież tysiące gorszych słów. Zielone światło dla instytutów, laboratoriów, zakładów i pracowni! Deszcz etatów i pieniędzy, czym więcej tym słuszniej! Rosną przedziwne biura studiów, zakłady dokumentacji, pracownie projektów perspektywicznych i instytuty prognozowania. Najpierw jest akt erekcyjny, potem dyrektor, który obmyśla sobie schemat organizacyjny, angażuje ludzi do angażowania ludzi, potem ludzi do obsługi zaangażowanych ludzi, potem wszyscy siadają i w ciężkim trudzie wymyślają sobie zakres działania. Znam bardzo konkretne przypadki, gdzie przez całe miesiące nikt nie wiedział, co ma właściwie robić, nudzili się ze sobą jak mopsy, popadali w kompleksy, celebrowali każdy rachunek za światło, za popielniczkę dla dyrektora, korygowali plany przyszłych planów, zabiegali o kserografy, ormigi, ascoty i wentylatory na biurka.

I cóż widzimy dalej? Zjednoczenie musi ograniczyć etaty, a podjąć dodatkowe prace. Zjednoczeniu wypada jednocześnie uruchomić jeszcze ze dwa-trzy ośrodki naukowo - badawczo - rozwojowe, żeby nie zostać w tyle na odcinku zaplecza. Więc w takim ośrodku sadza się ludzi, żeby robili to, co musi zrobić zjednoczenie. To są pracownicy naukowi, nie — administracyjni, więc nie psują wskaźnika. Psują natomiast inny wskaźnik, mianowicie:

Urzędnikowi w zjednoczeniu, kosztującemu trzy tysiące miesięcznie, każe się coś zrobić i on to robi. Potem każe mu się robić dwa razy tyle i on to też robi. Potem każe się trzy razy tyle i on już nie może, więc sprawę trzeba przekazać dodatkowemu urzędnikowi, zakamuflowanemu na etacie pracownika naukowego — powiedzmy — w Ośrodku Badania Studiów nad Projektami (OBSP).

Ale stop! OBSP jest komórką na pełnym rozrachunku gospodarczym i każda wykonana tu praca jest „towarem" na sprzedaż. Kiedy zjednoczenie żąda od urzędnika OBSP, żeby wykonał dla tegoż zjednoczenia pracę, dla której go w ogóle zaangażowano, to puszcza się w ruch taki mechanizm:

- OBSP wstawia do planu czynność, którą ma wykonać magister Styś w ośrodku,
- plan, będący skomplikowaną korektą dotychczasowego planu we wszystkich jego aspektach, przedkłada się do zatwierdzenia zjednoczeniu,
- zjednoczenie po naradzie paru wydziałów zatwierdza korektę,
- OBSP w oparciu o korektę opracowuje preliminarz nowej czynności:
- ilość potrzebnych osobogodzin,
- koszty osobo-godziny,
- koszty związane,
- koszty ogólne,
- narzuty,
- dorzuty,
- marże,
- prowizje,
- zysk,
- podatek,
- cenę czynności;
- zjednoczenie akceptuje preliminarz,
- OBSP opracowuje umowę o wykonanie czynności,
- zjednoczenie podpisuje umowę (dwóch dyrektorów, radca prawny i główny księgowy),
- magister Styś robi to, do czego go zaangażowano za cztery tysiące miesięcznie,
- zjednoczenie potwierdza przyjęcie pracy, potem potwierdza rachunek, potem przelewa... itd. itp.

Już się zmęczyłem, więc tylko króciutko: to, co robiłby referent Ptyś na etacie zjednoczenia w ramach swoich trzech tysięcy, co z braku etatu dla Ptysia robi magister Styś w Ośrodku Badania Studiów w ramach czterech tysięcy, kosztuje „per saldo" sto tysięcy złotych, przekazanych Biuru przez Zjednoczenie opisanym jak wyżej trybem. Nie, nie ma przesady: sto tysięcy złotych. Przykładów mam pełną szafę.

Te sto tysięcy obciąża koszty produkcji całego przemysłu, bo to z jego wpłat tworzy się fundusz zjednoczenia. Koszty produkcji obciążają oczywiście dochód nas wszystkich. Natomiast wskaźnik pracowników administracyjnych nie został w przemyśle przekroczony.

ĆWIEK

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesiecznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 586. T-4.